CENA 60 GR.

MÓJ PRZYJACIEL

PODRÓŻE PRZYGODY NAUKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA – GRUDZIEŃ 1928



№ 12 ROK V

Komunikat.

Życie i twórczość pisarzy polskich

to tytuł bibljoteczki, która obejmuje cykl utworów, omawiających, jak na to wskazuje tytuł, całokształt twórczości najznakomitszych poetów i prozaików polskich na tle ich życiorysów. Dziełka te opracowane przez doświadczonych pedagogów wprowadzają czytelnika umiejętnie w świat literatury, ułatwiają mu zrozumienie czytanych, względnie przerabianych utworów literackich, zwracając uwagę zarówno na ich ideologję jak i stronę artystyczną. Celem każdej z tych monografij jest syntetyczne ujęcie twórczości poszczególnych pisarzy polskich. Podana w każdej z nich bibljografja orjentuje czytelnika w literaturze krytycznej przedmiotu i to stanowi jedną z zalet wydawnictwa nadającego się nietylko dla uczniów pracujących pod kierownictwem nauczyciela, ale także dla samouków.

Z podanego cyklu wyszły już prace omawiające: **Życie i twórczość** trzech wieszczów, a więc: tom I **Mickiewicza**, tom II **Słowackiego**, tom III **Krasińskiego**, oraz tomik o **„Życiu i twórczości Mikołaja Reja z Nagłowic“**.

ŚWIEŻO WYSZŁY Z DRUKU:

Życie i twórczość Stanisława Wyspiańskiego

zawiera następujące rozdziały: I. Pogrobowiec romantyzmu. II. Hellenizm Wyspiańskiego. III. Walka z romantyzmem: a) Krytyka przeszłości, b) Krytyka współczesności. IV. Na drodze do własnej prawdy. — [Omówiono tu (treść, geneza, charakterystyka) utwory: „Daniel“, „Królowa Korony Polskiej“, „Legenda“, „Meleager“, „Protesilas i Laodamja“, „Klątwa“, Sędziowie“, „Warszawianka“, „Lelewel“, „Kazimierz Wielki“, „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Bolesław Śmiały“, „Skałka“, „Achilleis“, „Noc Listopadowa“].

Życie i twórczość Piotra Skargi

omawia: I. Życie i dzieła Piotra Skargi. — II. Stanowisko Skargi w literaturze polskiej. — III. Piotr Skarga jako autor „Kazań Sejmowych“. — IV. Geneza, idea przewodnia i forma „Kazań“, V. Treść „Kazań Sejmowych“ i ich program. — VI Strona artystyczna „Kazań“. — Bibljografja.

W przygotowaniu monografje o ŻEROMSKIM, PRUSIE i inn.



Rok V. Warszawa, grudzień 1928 Nr. 12.

U progu Nowego Roku.

Zbliżający się koniec roku zawsze nasuwa każdemu szereg smutnych czy przeciwnie—radosnych refleksyj. Ferje świąteczne, na ten okres przypadające, wyrywają nas z ustawicznych trosk i kłopotów dni powszednich i usposabiają do rozmyślań na temat: czem się zaznaczył rok ubiegły w naszem życiu? Do czegośmy dążyli? Jakie rezultaty osiągnęli?

Podobne pytanie mimowoli każdy sobie zadaje: wpływowy dyplomata, kierujący z zacisza swego gabinetu losami państw i narodów, i skromny sztubak, marzenia którego nie wychodzą po za skromny zakres otrzymania dobrej cenzury i awansowania na środkowego napastnika w drużynie footballowej. Lecz nietylko z punktu widzenia dążeń i rezultatów osobistych oceniamy zwykle rok ubiegły. Żyjemy w burzliwej i szybko odmieniającej się epoce, gdy każdy z nas więcej niż kiedykolwiek odczuwa, że jest cząstką nierozłączną wielkich zbiorowych jednostek: państwa, narodu i świata całego. Cały świat idzie naprzód, nauka i technika wpływają potężnie na życie ludzkie, a my śledzimy za tym postępem z uczuciem radości i dumy, bo też jesteśmy cząsteczką tej wielkiej jednostki, której na imię ludzkość.

Jeżeli zrobimy powierzchowny tylko przegląd zdobyczy naukowych i technicznych roku ubiegłego, przyjdziemy do wniosku, że postęp w tych dziedzinach twórczości ludzkiej osiągnął niebywałe wprost tempo. O ile w czasach starodawnych każdy wynalazek był owocem żmudnej pracy całego szeregu pokoleń, — o tyle teraz rozwój na wszystkich prawie polach wiedzy ludzkiej postępuje z zawrotną wprost szybkością. W naszej epoce rok znaczy więcej niż dla naszych dziadów dziesięć lat, i niż kilkadziesiąt lat dla naszych przodków.

Zwłaszcza rok ubiegły był obfity w zdumiewające wynalazki i sukcesy techniczne, które otwierają przed światem nowe horyzonty. Wspomnijmy tu tylko o telewizji, młodszej siostrze tak rozpowszechnionego obecnie radja, które przestaliśmy już prawie podziwiać. Kilka odwiecznych problemów zostało nam przekazano przez poprzednie wieki, i teraz zagadnienia te jedne po drugiem znajdują rozwiązanie. Kilkadziesiąt lat temu człowiek po raz pierwszy wzbił się w obłoki — dziś latamy przez Atlantyk, a komunikacja powietrzna zaczyna konkurować z żeglugą i koleją. Kilka lat temu zaledwie słyszeliśmy coś niecoś o radjo: dziś tani odbiornik detektorowy liczy setki tysięcy zapalonych wielbicieli. Przyszła kolej na telewizję, „widzenie na odległość": w roku ubiegłym byliśmy świadkami pierwszych nieśmiałych prób w tym kierunku (o ostatnich doświadczeniach inż. Bairda piszemy w tym

numerze). A za kilka lat anegdotyczna odpowiedź „przepraszam: nie mogę podejść do telefonu, bo nie jestem ubrany" — przestanie zapewne być anegdotą, bo podczas rozmowy telefonicznej będziemy już widzieli naszych interlokutorów.

Ten sam olbrzymi i szybki rozwój cechuje inne dziedziny pracy ludzkiej. Nie ulega wątpliwości, że oblicze świata szybko się zmienia. Potomkowie nasi będą mieszkali w innych warunkach, będą korzystali z udogodnień i komfortu, o których obecnie nie mamy pojęcia. Poczciwy autor „Historji bytu ekonomicznego Europy Zachodniej", prof. A. Kuliszer, dowiódł niezb cie, że za naszych czasów zwykły robotnik żyje lepiej i wygodniej, niż paręset lat temu królowie francuscy. Lepiej się ubiera, ma lepsze i bardziej higjeniczne warunki mieszkaniowe i nawet lepiej się odżywia. Ale to samo odnosi się w równej mierze i do naszej epoki. Potomkowie nasi z taką samą ciekawością będą czytali powieści z naszych czasów, jak my czytamy opowieści z przed dwustu lat powiedzmy, z czasów królowej Elżbiety angielskiej, która zadziwiała przepychem swego dworu świat cały, ale nie nosiła koszuli, obchodziła się bez chustki do n sa, a w spuściźnie swej zostawiła kilka tysięcy drogich sukien i... jedną parę dziurawych pończoch.

Wszystko to *mutatis mutandis* stosuje się do naszych czasów. Nie możemy wprost zrozumieć, jak żyli nasi pradziadowie nie mając kolei, tramwajów, samolotów, telefonów, radja, statków parowych. Możliwe, że prawnuki nasze pokiwają z litością głowami nad naszą epoką, albowiem nie możemy jeszcze widzieć na odległość pięciu tysięcy kilometrów i jeździć do Ameryki w ciągu dziesięciu godzin. Warunki życiowe a z niemi poglądy na świat szybko się zmieniają.

Dlatego też maksyma: „należy iść za postępem czasu" nabiera szczególniej w naszej epoce głębokiego znaczenia. W nieustającym wyścigu pracy państw, narodów i pojedyńczych ludzi nikomu nie wolno zejść z trasy dla chwilowego nawet odpoczynku. Odpoczynek oznacza tu zastój i jako skutek nieunikniony pociąga za sobą cofanie się i wyprzedzenie przez bardziej energicznych współzawodników. Widzimy jak po wojnie każde państwo czyni olbrzymie wysiłki, aby nadążyć za innemi, — za bardziej postępowemi i przodującemi pod względem techniki i ekonomji. Na nas, poszczególnych obywatelach państwa, ciąży obowiązek rozwijania się i doskonalenia w obranych przez nas dziedzinach, przyswajania sobie najbardziej doskonałych metod pracy, abyśmy mogli w przyszłości dorównać naszym współzawodnikom, idącym na przodzie.

Ale żeby walczyć i zwyciężać w tym wyścigu pracy, ludzi i narodów należy przedewszystkiem wiedzieć, z kim mamy iść w zawody i jaką kto ma nad nami przewagę. Skoro życie współczesne buduje się na najnowszych zdobyczach nauki i techniki, musimy przynajmniej wiedzieć, co to są za zdobycze i na czem one polegają. Dla tego też „Mój Przyjaciel", który obrał sobie hasło: „odzwierciadlenie życia współczesnego we wszystkich jego przejawach", najchętniej poświęca swe łamy tym właśnie dziedzinom twórczości ludzkiej. Dążymy do tego, aby czytelnik nasz, wertując stronice naszego pisma, odczuwał bicie pulsu potężnej i gorączkowej epoki, w której żyjemy, aby ten wir niezmordowanej pracy, ogarniającej świat cały, udzielił mu także cząstki chociażby swej wiecznie żywotnej energji, aby rozpalił jego umysł i zachęcił do czynu dla jego własnego i ogólnego dobra.

KONSTANTY STANIUKOWICZ.

ZAGINIONY MAJTEK.

NOWELA Z ŻYCIA MARYNARZY.



Trzecią już oto dobę stoi „Orzeł" w porcie Hong-Kong, odpoczywając w zacisznej zamkniętej zatoce. Cała droga z Singapoor była jednem pasmem walk z rozpętanym żywiołem. Po raz pierwszy od uzyskania niepodległości Polski okręt wojenny odrodzonego państwa pruł wody mórz na dalekim Wschodzie; to też załoga dołożyła wszelkich starań, aby doprowadzić swój ukochany statek do porządku. A było się przed kim pokazać! Oprócz angielskiej flotylli wojennej były tam statki wojenne i okręty handlowe oraz liczne jachty sportowe rozlicznych narodowości. Dziwnie odbijały od nich niezgrabne chińskie „dżonki", upiększone matami z ryżowej słomy i ohydnemi posągami smoków.

Hong-Kong znajduje się na wysepce. Do połowy XIX wieku była to naga i nie zamieszkała skała. Obecnie zaś Hong-Kong jest jednym z najlepszych portów morza chińskiego a jednocześnie jednem z najważniejszych miast Dalekiego Wschodu. Oczywiście w tej ważnej brytyjskiej kolonji zamorskiej, rej jak zawsze wodzili Anglicy.

Od czasu do czasu na „Orła" wdrapywali się Chińczycy i ofiarowali swe usługi, począwszy od prania bielizny a skończywszy na chińskiej wódce, wyrabianej z ryżu, a zwanej „chan-szyn". Niemało energji trzeba było użyć, aby pozbyć się tych nieproszonych gości.

Otrzymawszy od kapitana kategoryczny rozkaz „oczyszczenia" statku, starszy majtek Dobroszklanka zaczął od gradu przebojów słownych, w których celował bez konkurencji, przyczem skończył słowami:

— Odknaj , żółte pyski! Jazda!

Aczkolwiek Chińczycy nie rozumieli mowy polskiej a tem bardziej gwary jegomości Dobroszklanki, to jednak te ostatnie słowa, ilustrowane odpowiedniemi gestami, trafiły im do przekonania i jeden po drugim zeskakiwali na swoje łódki, które jednak nie oddalały się zbytnio. Łudzili się widocznie nadzieją, że ludzie z dalekiego zachodu namyślą się i dadzą biednym Chińczykom coś zarobić.

Tymczasem marynarze oczekiwali z nerwowem naprężeniem decyzji kapitana: czy pozwoli im wyjść na brzeg, czy nie? Kapitan wahał się długo, wiedząc, jak fatalnie wpływa „chanszyn" na zachowanie się jego podwładnych. To też z niemałą radością powitano komendę, wypowiedzianą donośnym, jakby z trąby wychodzącym, głosem Dobroszklanki:

— Pierwszy oddział na brzeg! Marsz!

Nastąpiło ogólne poruszenie. — Nareszcie! — zdawały się mówić twarze, które zajaśniały radością.

— A kiedy drugi oddział, panie starszy? — odezwał się czyjś głos.

—Jutro!—odrzekł starszy marynarz, udając się na dół, aby nieco odświeżyć swą toaletę. Chciał się pokazać jako

elegant przed Anglikami, którzy jego zdaniem zanadto się rozbijali. Za przykładem swego zwierzchnika zaczęli się stroić marynarze. Wkładali na siebie koszule z wykładanemi kołnierzykami, szyje ozdabiali czarnemi jedwabnemi chustkami, niektórzy zaś brali po dwie chustki do nosa, więcej zresztą dla elegancji niż dla praktycznego użytku.

Najskromniej ze wszystkich ubierał się Janek Gorzałka. Nie było to jego rodowe nazwisko, lecz przydomek, nadany mu przez towarzyszy za zbyt wielki pociąg do trunków gorących.

Ale nawet mocno podniszczony ubiór leżał na Janku, jak ulany. Był on wzrostu średniego, szczupły ale dobrze zbudowany i krzepki. Jego twarz opaliła się i zczerwieniała od wiatru i słońca, ale on zachował miłe i dobroduszne spojrzenie oczu z lat dawnych. Karjerę marynarską rozpoczął we flocie austrjackiej, podczas wojny dostał się do niewoli, ale wkrótce dał się poznać jako patrjota Polski i otrzymał pozwolenie na połączenie się z formacjami wojennemi, tworzonemi dla odrodzenia Polski. Po powstaniu floty narodowej wstąpił na służbę jako jeden z pierwszych.

I oto teraz wychodził z kolegami na brzeg, mając dolara w kieszeni. Był to jego jedyny dolar, który trzymał właśnie w tej chwili na swej szerokiej żylastej dłoni.

Widocznie w duszy jego toczyła się jakaś walka.

Doskonale zdawał sobie sprawę ze swego fatalnego nałogu, który nań niejedno nieszczęście sprowadził. W piciu miary nigdy utrzymać nie mógł, a jak tylko przekroczył granicę, zaczynały się z nim dziać rzeczy wprost niesamowite. Właściwie mówiąc, co się z nim wówczas działo, sam dokładnie nie wiedział. Napróżno usiłował odtworzyć w swym umyśle dzieje dnia ubiegłego, kiedy się budził na statku bez butów i czapki, w porwanej na szmaty koszulinie, często gęsto z rozbitym nosem i pokiereszowaną twarzą. Pewnego razu zauważył nawet ku swemu niemałemu zdziwieniu dość sporą ranę, pochodzącą widocznie od uderzenia nożem. Czasem znów dowiadywał się od kolegów, jak on, Janek Gorzałka, załatwił się z pewnym majtkiem niemieckim, którego omało co nie wyprawił do niebieskiego faterlandu, jak „palnął w papę“ podoficera Pętelkę, ot tak sobie — z łaski na uciechę, lub obraził swego zwierzchnika i wrzeszczał w niebogłosy, kiedy go ładowano z łódki na statek.

„Na trzeźwo“ przysłuchiwał się ze zdumieniem i wstrętem tym opowiadaniom, zadając sobie pytanie:

— Azaliż to wszystko możliwe?

Ale srogi wyraz twarzy starszego oficera był najlepszym dowodem prawdziwości tego nieprawdopodobieństwa. To też głosem wzruszonym i pełnym skruchy przemawiał:

— Moja wina, panie poruczniku! Więcej nie będę!

Z początku zarówno na statku austrjackim jak i polskim surowo go karano za to „zalewanie robaka“. Później starano się go leczyć. Ale nic nie pomogło. Lekarz był znakomity i lekarstwo było świetne, ale sam pacjent okazał się zbyt uparty. Nałóg Janka był widocznie zbyt zakorzeniony. Cóż można było zrobić? Wydalić ze służby? Ale w takim razie przyszłoby się pozbyć wzorowego marynarza, który ze wszystkich powierzonych mu obowiązków wywiązywał się zawsze ku zupełnemu zadowoleniu zwierzchników.

Zawsze — prócz oczywiście tych mrocznych chwil, kiedy się upijał i przestawał być odpowiedzialnym za swoje czyny. Postanowiono przeto wypuszczać Janka na brzeg możliwie jak najrzadziej i jedynie pod opieką jednego z marynarzy. Był nim przeważnie Pietrek Czampion, tak przezwany z powodu swej atletycznej budowy. Walczyć z nim było niepopodobieństwem, gdyż każdego śmiałka w krótkim czasie kładł na obie łopatki.

Gorzałka i Czampion pochodzili z jednej wioski, jednocześnie rozpoczęli na tym samym statku służbę i do dziś dnia nie rozłączali sie nigdy na dłuższy czas.

Czampion ubrany odświętnie zatrzymał się przed towarzyszem.

— Słuchaj Janku, nie bądź frajerem, dolara daj mi na przechowanie! Połowę przepijesz, ale ani grosza więcej! Kiedy wrócimy, odbierzesz drugą połowę. Przyda ci się na koszulę, lub co innego. Pamiętaj, trzymaj się!

— Najdroższy przyjacielu, masz, trzymaj dolara, ale mnie też trzymaj w garści, nie daj mi zadużo broić, jak tylko coś u mnie zauważysz, nie krępuj się...

— Polegaj na mnie! Już ja cię, bratku, będę trzymał ostro!

Również starszemu oficerowi musiał Czampion solennie przyrzec, że nie pozwoli Gorzałce zbytnio brykać. Wówczas dopiero pozwolono obu przyjaciółom opuścić pokład.

Zdaleka dobiegł ich jeszcze głos porucznika:

— Pamiętajcie, chłopcy, o siódmej stawić się do apelu. Bezwzględnie!

— Będziemy, panie poruczniku, na pewniaka będziemy! — głośniej od innych krzyknął Janek Gorzałka.—Bez nijakiej kwestji będziemy!

Z okrętu odwiozła urlopników niewielka łódź ku przystani. Z nietajoną radościązaczęli marynarze wyskakiwać na upragniony ląd, przyczem starszy majtek, felczer i pisarz, słowem „arystokracja,“ wyszła pierwsza.

Na przystani kręcili się już mocno wstawieni majtkowie statków handlowych i wojennych rozmaitych państw. Tu i ówdzie wałęsali się gromadami Chińczycy, ofiarując przenajrozmaitsze towary i usługi.

Jeden z marynarzy, który nie po raz pierwszy odwiedzał Hong-Kong, nie dopuszczał jednak „żółtopyskich“ zbyt blisko.

— Nie słuchajcie tej hołoty! Do luftu z nimi. Szynków i barów nie brak tu, obejdziemy się bez faktorów. A ci huncwoci, djabli wiedzą dokąd nas mogliby zaprowadzić... Jednego z naszych marynarzyków, kiedyśmy tu byli przed trzema laty, zaprowadzili gdzieś i rozebrali do naga... Jazda stąd żółte pyski...

Rada starego majtka skutkuje. Usługi Chińczyków zostają stanowczo odrzucone.

Podzieleni na gromadki, marynarze zaczynają się szwendać po szyneczkach, których było sporo wpobliżu przystani i w dolnej części miasta, stanowiącej naogół dość brudną dzielnicę o niepozornych zabudowaniach. Mniejsza część żołnierzyków udała się do lepszej dzielnicy miasta, wybudowanej na zboczu góry skalistej, aby wpierw nieco pospacerować, obejrzeć ulice i gmachy, zajrzeć do sklepów, a później dopiero zabawić się. Do rzędu tych ciekawych należeli Gorzałka i Czampion.

Szli sobie obaj w milczeniu i po półgodzinnym marszu wyszli nareszcie na szeroką ulicę, z obu stron ocienioną pięknemi drzewami. Wysokie eleganckie gmachy ciągnęły się długim rzędem. Były to banki, hotele i pałace miejscowych bogaczy. Na parterze mieściły się ozdobne wystawy magazynów. Czystość była wszędzie wzorowa.

— Ładne miasteczko! — pochwalili obaj marynarze.

Usiedli sobie na ławeczce, ustawionej w jednym z ogrodów, i rozkoszując się cieniem, przyglądali się przechodniom, pochodzącym z różnych części świata. Wreszcie, wypaliwszy po fajeczce, zdecydowali się wejść do pierwszego napotkanego baru na kufelek piwka.

Ugasiwszy nieco pragnienie, wzięli się pod ręce, i znów zaczęła się wędrówka. Nie spostrzegli, jak się znaleźli w dolnej dzielnicy Hong-Kongu, cieszącej się nielepszą sławą, niż nasze ulice Wolska i Czerniakowska. I oto już znów wstąpili do jednego z barów, wpobliżu przystani.

Ku nim podszedł kelner—Chińczyk.

— Dżynu, — rozkazał Czampion.

Usiedli przy stoliku, wypili po kieliszku, potem zażądali jeszcze.

Jankowi chińska „ryżówka“ wcale nieźle smakowała; chwalił ją zupełnie bezstronnie i stawał się coraz bardziej podniecony.

Siedząca nieopodal wesoła kompanja marynarzy angielskich z uśmiechem przyglądała się niewidzianym przez nich dotąd mundurom.

Po paru kieliszkach Janek stał się bardzo wymowny i dzielił się z towaszem wrażeniami, których doznał w tem chińskiem mieście. Chwalił wzorową czystość, piękność gmachów, szyk magazynów i wogóle był zdania, że Gdańsk ani się umywa do Hong-Kongu:

— Chyba Gdynia, ale kiedy się zupełnie zabuduje! — dodał Janek, poczem zmienił temat rozmowy i zaczął rozwodzić się nad niedolą Chińczyków, co mu jednakże bynajmniej nie przeszkadzało ciągnąć dżyn drobnemi łykami w stylu rzeczywistego „znawcy". Gadając bez przerwy i pociągając z fajeczki, zauważył, że kieliszek jego stoi próżny, to też przemówił tonem nieco tajemniczym:

— Wiesz, brachu, sypniemy jeszcze po jednym kieliszeczku! Jak babcię kocham, dżyniuś... wcale niezły!

— Czy aby nie za dużo? Wciągnęliśmy już cztery, jak murowane.

— Czyżby cztery? — chytrze zdziwił się Janek Gorzałka.

— Patrzcie państwo jaka leciutka wódeczka!... Capniemy jeszcze po jednym i fajrant... Więcej ani mru — mru! Pojmuję należycie, że musimy na statek wrócić w stanie honorowym. Ja, brachu, dane słowo pamiętam arcydoskonale. Bądź spokojny przyjacielu! — dodał mitygująco.

Janek Gorzałka, któremu alkohol już szumiał w głowie, czynił wrażenie trzeźwego i spokojnego człowieka. Uspokojony słowami towarzysza, nie zauważywszy jego podniecenia, Czampion zawołał boy'a. Kelner — Chińczyk podbiegł do naszych przyjaciół, którzy bez znajomości angielskiego języka zdołali mu jednak doskonale wytłumaczyć, o co im chodzi.

Wkrótce kelner wrócił z dwoma pełnemi kieliszkami.

— Ale pamiętaj, Janku, że to już ostatni! — poważnie przemówił Czampion.

— Albo ja, braciszku, pijany? Czyż widziałeś kiedykolwiek w świecie, aby tak się prezentował człek urznięty? Ja tylko tak, dla przyjemności, druhu najdroższy! Cóż to my jeńcy, aby nam nie było wolno pospacerować po wybrzeżu? Przyjacielu... niech żyje nasz stan marynarski!...

„Pije Janek do Czampjona,
Czampjon do Gorzałki,
A kto z nami nie wypije
Tego we dwie pałki".

Wydawszy z siebie tę improwizację na znaną nutę, Janek pogrążył się w zadumę. Ten kielich ostatni był decydujący. Wódka w zupełności zaćmiła mu umysł. Janek stał się nagle jakby zupełnie innym człowiekiem. Na jego twarzy, dotąd łagodnej, zjawił się pijacki uśmieszek, wyzywający i arogancki. Wyprostował się, zadarł głowę do góry i spoglądał wyniosle na towarzysza oraz sąsiadów, marynarzy angielskich.

— A ty co sobie myślisz? Mnie nawet pohulać nie wolno? — krzyknął nagle ze złością.

— Co to za prawo u kaduka? Całe życie haruj, a pić to zabraniają! Kpisz brachu, czy o drogę pytasz? Dlaczego innym można, a mnie nie? Powiedz, Czampionku, powiedz szczerą prawdę, jaki ze mnie marynarz, hę? Dobry, czy nie?

— Dobry!

— A widzisz, sam mówisz! A czemu starszy się mnie czepia i gada ciągle: „a nie pij, a nie pij" I porucznik grozi mi karą za pijaństwo! Ale ja nikogo się nie boję! Jednego Pana Boga się obawiam i przed Nim będę odpowiadał. A kiedy Pan mnie zapyta: Czemu, Janku, upijasz się? — oho, będę wiedział, co odpowiedzieć...

Rzekłszy te słowa, walnął pięścią w stół i krzyknął:

— Dżynu!

Boy znalazł się w jednej chwili przed stolikiem naszych marynarzy.

— Janku, daj spokój. Pamiętaj, żeś dał słowo!

— Słowo? Czekaj, ja im pokażę słowo! Dlaczego oni się patrzą na mnie. Kto im pozwolił?

Janek wskazał ręką na grupę Anglików, zajmujących sąsiedni stolik. Traf chciał, że w tej chwili ktoś z nich głośno się zaśmiał. Okoliczność ta była wystarczająca, aby dać upust złości, która opanowała Janka.

Nim Czampion zdołał się zorjentować i zatrzymać towarzysza, ten ostatni był już przy sąsiednim stole i wybrawszy niewiadomo dlaczego na bardziej masywnego, krępego i różowego Anglika, zamachnął się z całej siły i wymierzył mu tak silny cios, że marynarz upadł na wznak.

Na chwilę Anglicy jakby zbaranieli, ale wkrótce zaczęli się naradzać między sobą, co czynić. Chcieli się już rzucić na Janka, spokojnie wyczekującego dalszego ciągu wypadków, gdy wtem obalony przezeń marynarz, podniósłszy się z podłogi, powstrzymał swych towarzyszy i zakasawszy rękawy koszuli, przyjaznym uśmiechem i wyrazistą mimiką dał Jankowi do zrozumienia, iż przyjmuje jego wyzwanie i gotów jest odbyć z nim pojedynek na pięści.



Potem się zjawił jakiś jegomość z rewolwerem w ręku.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na ulicy, gdzie rozpoczęła się walka między Jankiem a jego przeciwnikiem. Z czasem przyłączyli się do nich liczni przechodnie, którzy z ciekawością przyglądali się pojedynkowi. Janek był może silniejszy, ale nie mógł sprostać Anglikowi, który okazał się prawdziwym mistrzem boksu. W rezultacie obaj przeciwnicy ponieśli poważne obrażenia; na szczęście przeszkodził dalszej walce policjant.

Janek nie odróżnił go widocznie od przeciwnika i poczęstował gościnnie pięścią. Wówczas policjant, zdrowy i silny Hindus — Sypaj, zręcznym chwytem ujął Janka, który tymczasem nieco otrzeźwiał i nagle zrozumiał, jaką hańbą okryłby imię polskiego marynarza, gdyby został zmuszony do przenocowania w angielskim „cyrkule". Nie wiele przeto myśląc, szarpnął się gwałtownie i wyrwał z rąk policjanta.

Rozpoczęła się gonitwa. Janek miał kilka sekund przewagi i to zdecydowało o wyniku. Skrył się gdzieś w bocznej uliczce, tak że policjant nie mógł go odnaleźć, mimo wszystkich wysiłków.

Wówczas Sypaj zwrócił się do Czampiona, któremu coś zaczął tłumaczyć z widocznem zaniepokojeniem. Ale nasz majtek nie zrozumiał ani sylaby i, przeszedłszy się kilka razy po uliczce, wrócił wślad za policjantem na wybrzeże, nie wątpiąc, że Gorzałka zdąży na czas.

Ale Czampion się mylił. Po kilku godzinach łódź wróciła do okrętu, ale Janka w niej nie było. Wówczas porucznik „Orła" udał się z polecenia kapitana do policjanta, którego mu wskazał Czampion.

— Sprawa jest poważna—rzekł Sypaj: — waszego majtka mogą rozebrać donaga, spić i sprzedać na jakiś okręt handlowy; prawdopodobnie obudzi się on już na morzu.

Porucznik zaraportował o tem wszystkiem kapitanowi, który rozkazał niezwłocznie wrócić na brzeg i zawiadomić o całem zajściu naczelnika policji. Tej samej nocy obszedł porucznik w towarzystwie dwóch policjantów całą dzielnicę chińską. Nigdzie jednak nie natrafiono na ślady zaginionego marynarza.

— Pewnie majtek wasz znajduje się już na morzu, na którymś ze statków kupieckich, — zauważył urzędnik policji.

Trzy dni trwały energiczne poszukiwania. Na rozkaz gubernatora angielskiego zrewidowano podejrzane statki handlowe, które stały w porcie. Ale po Janku wszelki ślad zaginął.

Kapitan, oficerowie i majtkowie żałowali nieszczęsnego Janka. Wszyscy byli w stanie silnego przygnębienia, — wszak Janek był zawsze ich ulubieńcem. Zamiast planowanych uprzednio sześciu dni, „Orzeł" stacjonował w Hong-Kongu przez dni dziesięć.

Wreszcie straciwszy nadzieję odnalezienia zaginionego marynarza, kapitan rozkazał szykować się do odpłynięcia z portu, przekazawszy całą sprawę konsulowi polskiemu.

Ale w wilję odjazdu zaszły ciekawe wypadki, o których niżej.

* * *

Zdarzyło się, że w samą wilję odjazdu „Orła" kilku oficerów tegoż statku wojennego odbyło pożegnalną wycieczkę wzdłuż wybrzeża. Łódź, która ich wiozła, wracała już do okrętu.

Niebo usiane było gwiazdami, ale mimo to noc była ciemna. Wiatr ustał zupełnie. Wszystko jakby zamarło. Morze wyglądało, jak lśniące lustro. Okręty, których liczne światełka jaśniały na widnokręgu, nie poruszały się zupełnie. Wszystko wokoło zdawało się drzemać. Ciszę tę przerywały tylko dzwony okrętowe, wybijające godziny i półgodziny, oraz miarowy plusk wioseł.

Oficerowie rozprawiali leniwie o wędrownej operze, która z Hong-Kongu udawała się do Szanhaju. Zmęczeni długiem wiosłowaniem majtkowie coraz leniwiej napierali na wiosła i chciwie wciągali nocne powietrze, które jednak nie odświeżało płuc: jakaś duszna atmosfera zdawała się niepodzielnie panować wszędzie. Do „Orła" było dość daleko i jego ogni jeszcze nie było widać. Łódź przesuwała się powoli, w pobliżu statku handlowego, czyli krótko mówiąc, „kupca", gdy wtem wśród nocnej ciszy rozległ się cichy i żałośliwy głos:

— Ratujcie rodacy! Ratujcie!

Wszyscy obecni na łodzi aż drgnęli, usłyszawszy ten okrzyk. Jeden z wioślarzy krzyknął:

— Ależ to jest Janek Gorzałka!

Tymczasem na „kupcu" słychać było besztanie w jakimś obcym języku.

— Bracia, pom...—rozległ się znowu rozpaczliwy, jakby zduszony krzyk.

Głos nagle urwał. Słychać było hałas i znów wszystko zamilkło.

Nie oczekując rozkazu, majtkowie przestali wiosłować, trzymając wiosła nad wodą. Wszyscy oczekiwali komendy: „do kupca".

— Gorzałka! — krzyknął głośno porucznik, najstarszy rangą z pośród obecnych.

Odpowiedzi nie było.

Wówczas oficer krzyknął po angielsku:

— Na kupcu! Jest ktoś?

Z „kupca" nikt się nie odezwał, jakgdyby na nim nie było żywej duszy.

Po krótkotrwałej wspólnej naradzie zdecydowano podjechać do statku kupieckiego i wejść nań, aby uwolnić marynarza. Kilka poruszeń wiosłami i łódź była obok „kupca".

— Czego potrzeba? — krzyknął po angielsku czyjś gruby głos.

Mówiącego nie było wcale widać. Zamigotał tylko jakiś cień.

— Polskiego majtka ze statku wojennego!

— Żadnego polskiego marynarza tu niema...

— Zobaczymy! Obudzić kapitana! — ostro krzyknął porucznik— i z temi słowy zaczął wdrapywać się na okręt.

Za nim bez namysłu poszli oficerowie i sześciu majtków. Kilku majtków pozostało na łodzi.

Cień ludzki gdzieś znikł. Polacy zostali sami na pokładzie.

— A jeśli nam nie oddadzą Janka? — zauważył ktoś.

—Bzdury, oddadzą!— przemówił porucznik. — Niech tylko się odważą nie oddać! W razie czego to zostaniem, a łódź z sześciu majtkami da znać o wszystkiem kapitanowi.

Po upływie minuty wszedł na pokład z latarnią we włochatej ręce otyły mężczyzna w żółtym szlafroku, z którego kieszeni wyglądała lufa rewolweru. Był to mocny brunet, w wieku lat może czterdziestu kilku, o energicznym ale surowym wyrazie twarzy. Nosił długą, czarną brodę.

— Czem mogę służyć, sir? — zapytał chłodno, rzucając ponury i zdziwiony zarazem wzrok na grupę.

— Pan jest kapitanem?

— Przypuśćmy, że tak. Płynę pod flagą... (nazwał jedną z republik środkowo-amerykańskich). A panowie?

— Polscy oficerowie ze statku wojennego.

Kapitan poruszył nieco głową, co miało oznaczać powitanie.

— Co panów sprowadza?

Porucznik objaśnił przyczynę swej wizyty o tak późnej porze.

— Pan się myli... Żadnego Polaka u nas niema. Jest zbieranina z całego świata, ale Polaka niema. Tu pewnie jakieś nieporozumienie...

— W takim razie sprowadzę oddział z naszego statku wojennego i dam znać policji,—odrzekł porucznik stanowczo.

Oczy kapitana cisnęły błyskawice. Świsnął przeraźliwie.

Wbiegł murzyn — majtek.

Kapitan obrzucił go gradem przekleństw i obiecał mu dać porządne lanie. Murzyn zadrżał. Kapitan kazał sprowadzić nowicjusza.

— Nie miałem zielonego pojęcia co za człowieka przyprowadzono mi przed tygodniem! Wiem tylko, że zapłaciłem zań 15 dolarów i że ów człowiek chciał uciec. Więc schowałem go... A jakiej on narodowości, co to mnie obchodzi? Moi djabli zupełnie niepotrzebnie wypuścili go w nocy... Wieczorem byście go już nie ujrzeli!--sarkastycznie dodał kapitan.

— Wypłynęlibyście, panowie, na morze?

— Oczywiście, sir... A teraz szukaj nowego szubrawca! Miałem w dodatku straty materjalne. Spodziewam się, że pan porucznik mi je pokryje?

— Piętnaście dolarów panu zapłacę.

— Mało, ale z marynarzami wojennemi trudno mi dogadać. All right!— dodał kapitan.

Za kilka minut ukazał się Janek.

Cały był w sińcach, oczy miał podbite, odziany w łachmany. Jakieś cienie zjawiły się na pokładzie. Światło latarki padło na czarne, żółte i białe fizjonomje „załogi“ tego okrętu.

Tymczasem Janek radośnie dopadł do swoich.

— Jak się masz, Gorzałko? Teraz rozumiesz do czego może doprowadzić dżyn? To chyba już będzie po raz ostatni!

— Rozkaz, panie poruczniku, — odparł Janek ze łzami w głosie.

Podczas gdy Gorzałka, a raczej Exgorzałka — bo postanowił już więcej nie pić — ściskał dłonie majtkom —porucznik wypłacił kapitanowi obiecane 15 dolarów, poczem wszyscy zaczęli schodzić do łodzi.

Janek oczekiwał porządnego lania, ale kapitan biorąc pod uwagę tortury, które biedak przeszedł na „kupcu“, a przedewszystkiem jego skruchę, darował na ten raz winę.

W gronie towarzyszy — majtków opowiadał Janek gorzkie dzieje, jakie przeżył w czasie swego porwania.

Wówczas, mianowicie, kiedy uciekł przed policjantem, spotkał przypadkiem chińczyka, który go zaprowadził do jakiejś spelunki i poczęstował ryżówką. Janek wypił, a co dalej było nie pamięta prawie. Przypomina mu się tylko jak przez mgłę, że widział pochylone nad sobą podejrzane fizjonomje, które hałaśliwie sprzeczały się

o coś. Potem do pokoju nagle wpadł jakiś jegomość z rewolwerem w ręku. Podejrzane indywidua czmychnęły co prędzej, a Janek został sam na sam z przybyszem. Tamten chwycił go za kołnierz i chciał gdzieś prowadzić, a gdy on, Janek, zaczął się wyrywać, otrzymał taki potężny cios, że upadł bez przytomności.

Kiedy się obudził nad ranem, były wokół niego obskurne „pyski". Że



„Orzeł" płynął smagany deszczem i wichurą.

zdumieniem spostrzegł, że jest nagi, jak święty turecki... nawet koszuli nie miał na sobie. To była robota chińczyków, którzy też zaprowadzili Janka na „kupca", rozebrawszy go przedtem zupełnie. Na statku kupieckim byli biali i murzyni, chińczycy i hindusy. Wszyscy zaś drżeli przed kapitanem, w którym Janek poznał jegomościa z rewolwerem z nocy ubiegłej. Kapitan stosownie do swego zwyczaju przywitał Janka szpicrutą, wymierzywszy mu kilka silnych cięgów. Cały w siniakach został Janek zaprowadzony na dół. Otrzymał jakiś tapczan, ale znajdował się pod stałym dozorem murzyna-majtka. Czarne myśli zaroiły się w głowie Janka, w sercu miał żal i tęsknotę. Czuł, że kiedy okręt odpłynie, nie będzie już żadnej nadziei. Postanowił przeto postawić wszystko na jedną kartę.

W nocy, kiedy wszystko zdawało się być pogrążone w głębokim śnie, Janek wykradł się na pokład i już spuszczał nogi do niewielkiej łódki, gdy wtem capnął go ten sam murzyn majtek, który przed chwilą jeszcze udawał śpiącego. Powstał tumult, przybiegł kapitan. Janka zbito tak silnie, że myślał, iż ostatnia jego chwila nadeszła, a gdy był już bliski omdlenia, skrępowano mu nogi powrozem i wpakowano do jakiejś dziury głęboko pod pokładem. Pięć dni go tam przetrzymano i przez cały ten czas był on w strachu, że lada chwila „kupiec" odpłynie.

Wreszcie wczoraj wieczorem wypuszczono go na pokład, aby mógł odetchnąć świeżem powietrzem. I gdy tak siedział, pogrążony w myśli bolesne, usłyszał znienacka plusk wioseł. Po chwili doleciały jego uszu dźwięki mowy polskiej!

Wówczas właśnie Janek bezwiednie prawie krzyknął. I ten okrzyk uratował go.

— Kapitan, porucznik, wszyscy byli tak dla mnie dobrzy, dla mnie pijaczyny, — kończył swe opowiadanie Janek. — Ale ja też teraz pod słowem marynarza gorzałki więcej do ust nie wezmę.

Po dwóch dniach „Orzeł" znajdował się na bezmiarach pustyń wodnych. Na oceanie nastąpiły burzliwe pogody. „Orzeł" ciężko walczył z żywiołem, smagany deszczem i wichurą. Ale wszyscy byli w doskonałym humorze, zwłaszcza Janek, któremu żadny huragan nie wydawał się tak straszny, jak wspomnienie złowieszczego „kupca", ktory omal nie stał się jego więzieniem.

Przerobił
J. Rytewski.

NA NAJWIĘKSZEJ RZECE ŚWIATA.

Polska ekspedycja naukowa zbadała niezaludnione obszary Peru, przeznaczone dla kolonizacji polskiej. W artykule poniższym czytelnik znajdzie kilka fragmentów z tej ciekawej i nie zawsze bezpiecznej wyprawy.

Na początku roku 1928 z Warszawy wyruszyła w świat daleki polska ekspedycja naukowa, złożona z sześciu uczestników, śród których znajdował się znany polski podróżnik i poczytny pisarz por. M. B. Lepecki. Ekspedycja miała za zadanie, zbadanie rozległych lecz słabo zaludnionych obszarów, położonych w dorzeczu Amazonki, należących do południowo—amerykańskiego państwa Peru. Chodziło o ustalenie, czy obszary te, zaproponowane przez rząd peruański dla kolonizacji polskiej, faktycznie nadają się do osiedlenia tam rolników naszych, przyzwyczajonych do umiarkowanego klimatu środkowej Europy.

Dla zbadania tych obszarów ekspedycja obrała drogę żmudną i niebezpieczną, ale za to pozwalającą na dokładne zaznajomienie się z warunkami miejscowemi.

Po wyruszeniu z Warszawy, ekspedycja przez Lizbonę i ocean Atlantycki dotarła do brazylijskiego miasta Para, a stamtąd przez dolną Amazonkę do miasta Manaos. Była to oczywiście najłatwiejsza część podróży, prowadząca „wielkim szlakiem“, uczęszczanym przez parowce oceaniczne. Trzeba zaznaczyć, że wody „Rzeki - Morza“ są tak głębokie, że nawet dla największych okrętów żegluga na Amazonce nie przedstawia niebezpieczeństwa.

Od miasta Manaos rozpoczął się drugi etap podróży, bardziej „egzotyczny“ i obfitujący w emocjonujące przygody. Przezwyciężywszy wielkie niebezpieczeństwa, o których mowa będzie niżej, ekspedycja polska stanęła wreszcie w mieście Iquitos, które stanowiło najbliższy cel podróży.

Od tej chwili rozpoczyna się okres uciążliwej pracy nad badaniem terenów, przeznaczonych dla kolonizacji polskiej. Na dwóch małych stateczkach rzecznych podróżnici nasi przejechali 2.000 kilometrów w górę potężnej rzeki Ucayali. Znaleźli się przytem na obszarze jeszcze nie tkniętym przez cywilizację europejską. Zawarli znajomość z dzikiemi szczepami indyjskiemi, które jeszcze nie widziały nigdy „bladych twarzy“. Ale trudy podróży i przemęczenie fizyczne, związane nieodłącznie z pobytem w tych dzikich miejscowościach o gorącym i niezdrowym klimacie, zmusiły część członków wyprawy do zaniechania dalszych badań i do co rychlejszego powrotu do miasta Iquitos. Mimo to, pozostała część ekspedycji, z wytrwałym por. Lepeckim na czele, uparcie dążyła naprzód ku zamierzonemu celowi.

Wytrwałość i ofiarna praca śmiałych podróżników uwieńczona została całkowitem powodzeniem. Ekspedycja polska przedarła się przez niebosiężne Kordyljery ze strony wschodniej, — czyn którego mało kto z Europejczyków dotychczas dokonał. Gdy po zwycięskim przejściu przez te olbrzymy górskie, ustępujące co do wysokości tylko Himalajom, podróżnicy ujrzeli wreszcie szarawe wody Oceanu Spokojnego, — oznaczało to właściwie zakończenie ciekawej i niebezpiecznej wyprawy. Bo dalsza droga, — statkiem pasażerskim przez kanał Panamski i Atlantyk do brzegów gościnnej Francji, — była tylko odpoczynkiem po poniesionych trudach.

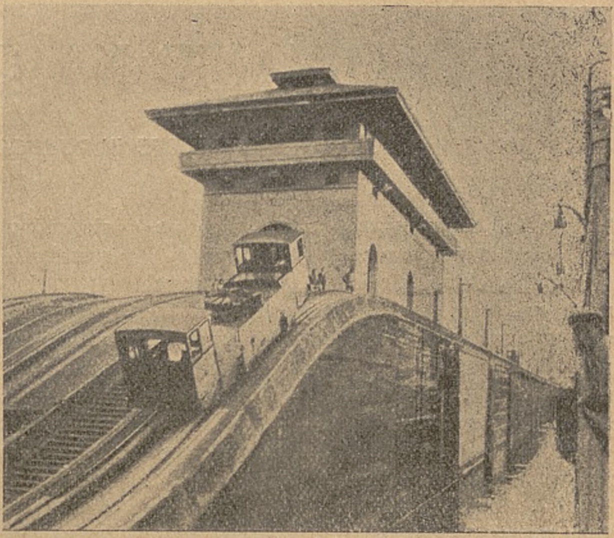
* * *

Na samym początku tej długiej i uciążliwej wędrówki na badaczy polskich czyhało poważne niebezpieczeństwo. W książce swej p. t. „Na podbój Amazonki“ por. Lepecki daje opis tej „przygody“, przypominającej przejścia romantycznych bohaterów Kupera lub Main - Reida:

„Po pięciotygodniowej podróży przez ocean i dolną Amazonkę, przybyliśmy do miasta Manaos w Brazylji. W dniu 11 lutego wsiedliśmy na brazylijski okręcik „San Salvador", który miał nas dowieźć do Iquitos w Peru. Przestrzeń 2.200 kilometrów, dzielącą oba miasta mieliśmy przebyć w ciągu 18 dni. Pierwsze kilka dni podróży były bardzo pomyślne. Pogoda sprzyjała, a upał nie dokuczał zbytnio. Jednak już w tydzień po opuszczeniu stolicy stanu Amazonas zauważyłem, że rzeka zaczyna wzbierać gwałtownie i że wraz z olbrzymiemi masami wód, napływającemi z niezliczonych dopływów, napływają coraz liczniej olbrzymie pnie drzew, wyrwanych z korzeniami przez wichry i fale. Gładka i lśniąca powierzchnia wód pomarszczyła się i pokryła nieprzejrzanym korowodem groźnie przewalających się kłód, gałęzi, liści, krzów i tego nieokreślonego brudu, który zawsze towarzyszy wezbranym gwałtownie wodom. Każdy potężniejszy pień, wyrwany gdzieś tam z macierzystej, odwiecznej selwy, przedstawiał dla naszej łupiny poważne niebezpieczeństwo. Wystarczyło jedno uderzenie takiego olbrzyma w dziób okrętu, aby nity puściły, a woda zalała wnętrze. Nic dziwnego, że z troską spoglądaliśmy na nieprzyjazną, wrogą Rzekę-Morze i układaliśmy plany na wypadek rozbicia. Niestety, obawy nasze sprawdziły się niebawem. Dnia 23 lutego z rana uczuliśmy potężne uderzenie, od którego zachwiał się i statek, i wszystko co na nim się znajdowało. Początkowo nikt nie przypuszczał, aby uderzenie sprawiło jakąś poważniejszą szkodę. Kapitan Clementino Yuca tak był zadufany w swojej szczęśliwej gwieździe, że nawet nie sprawdził, co się mogło przytrafić. Dopiero w godzinę później wybiegł z pod pokładu przerażony maszynista i zaczął wołać, że okręt tonie, a woda przedostaje się już do hali maszyn, grożąc wybuchem kotłów. Zrobiło się krótkie zamieszanie, a kapitan wydał rozkaz wyrzucania ładunku. Na dno potężnej rzeki poszło przeszło tysiąc rur kanalizacyjnych, przeznaczonych dla Iquitos, poszło 50 tysięcy kilogramów soli, nieskończona ilość skrzynek z mydłem, cukrem, oraz towarami przeróżnej użyteczności. Pomimo tego, że niszczycielska praca trwała przez cały dzień, okręt podniósł się zaledwie na kilka centymetrów nad poziom, przy którym musiałby już nieodwołalnie zatonąć. Dopiero późnym wieczorem można było założyć w opróżnione kamery pompy i rozpocząć usuwanie wody. Jednak całonocne pompowanie nie poprawiło sytuacji ani na jotę. Gdy na drugi dzień zrana okazało się, że dziury nietylko nie załatano, ale nawet zgoła jej nie znaleziono, pasażerów zaczął ogarniać strach. I rzeczywiście, położenie nie było do pozazdroszczenia. Do najbliżej stacji telegrafu iskrowego („San Salvador" nadawczej stacji radja nie posiadał) mieliśmy około 4 dni drogi, a pomocy możnaby spodziewać się nie wcześniej, jak za tydzień. Położenie stało się tragiczne, jednak dopiero wówczas, gdy pod pokładem wybuchł z przyczyn niewyjaśnionych pożar, i okrętowi zaczęło grozić niebezpieczeństwo ze strony wielkiej ilości wiezionej benzyny, która lada chwila mogła zapalić się i sprowadzić na nieszczęsny statek ostateczną zagładę. Zoczywszy nowe niebezpieczeństwo, kapitan Clementino Yuca uznał się za pokonanego i zebrawszy wszystkich mężczyzn zakomunikował im, że muszą przygotować się do wsiadania do łodzi ratunkowych i odpłynięcia w kierunku widniejącego o kilka kilometrów brzegu. Spojrzeliśmy niepewnie na pokryte dziewiczą selwą wybrzeża i jęliśmy zbierać resztki niezapakowanych jeszcze rzeczy. Po dłuższej i dość ostrej wymianie zdań z kapitanem, udało nam się zabrać na łodzie cały bagaż wyprawy, a nawet i własny. Od statku odbiliśmy już przed samym zachodem słońca. Nie mogliśmy wylądować w pierwszem lepszem miejscu, gdyż w dżungli pożarłyby nas o ile nie jaguary, to na pewno chmary moskitów. Musieliśmy szukać miejsca zamieszkanego przez człowieka. Brnęliśmy tedy na wątłej łodzi skroś wzburzone fale największej na globie rzeki, spoglądając z nienawiścią na mijane potężne pnie drzew, których jedno, pozornie niewinne uderzenie, wystarczyłoby do pogrążenia nas w odmęty. Reszty dopełniłyby jadowite piranje i żarłoczne krokodyle. Ale nie traciliśmy nadziei i dobrej myśli ani na chwilę. Podczas ulewy i największego rozpętania żywiołów, z piersi naszych popłynęła potężna, starodawna pieśń: „Choć burza huczy wkoło nas...". Jak ziemia ziemią, tak zapewno po

raz pierwszy wody i brzegi Amazonki usłyszały te dziwne dla nich dźwięki.

Po pięciogodzinnej drodze ujrzeliśmy światełko i wkrótce potem przybiliśmy do brzegu, na którym widniała jakaś chata. Okazało się, że dotarliśmy do miejscowości, zwanej San Jeronimo. Mieszkał tam niejaki Manoel Mafra, właściciel kilkunastu pańszczyźnianych Indjan, którzy łowili dla niego olbrzymie ryby pirarucu i zbierali kauczuk. W jego to gościnnej chacie ulokowaliśmy się z resztą rozbitków w ogólnej liczbie 35 osób.



W kanale Panamskim.

Jak widzimy, brzegi kanału są to wysokie betonowe ściany, wzdłuż których prowadzą tory kolejowe. Okręt, po wejściu do kanału, zatrzymuje maszyny, i posuwa się, ciągniony przez cztery lokomotywy elektryczne. Dwie lokomotywy holują okręt zapomocą lin, przymocowanych do jego dziobu; dwie zaś pozostałe kierują rufą okrętu, aby w wąskim kanale nie zawadziła o ściany. Gdyby nie te środki ostrożności, mogłaby się wydarzyć katastrofa: wielomiljonowy ciężar statku oceanicznego nawet przy lekkiem dotknięciu rozwaliłby ścianę kanału, a i sam okręt uległby katastrofie. Każdy okręt za jednorazowe przejście kanału Panamskiego płaci kilkadziesiąt tysięcy złotych, lecz mimo to ruch okrętów w kanale okazał się tak ożywiony, iż zachodzi potrzeba zbudowania nowego kanału, równolegle do Panamskiego. Prace przygotowawcze prowadzone przez Amerykanów już są w toku. Nowy kanał przejdzie najprawdopodobniej przez terytorjum republiki Nicaragua.

Po spędzonej w jak najgorszych warunkach nocy, podczas której o uszy nasze obijały się tajemnicze głosy dziewiczej selwy amazońskiej, a jednocześnie legjony moskitów dziurawiły nam skórę, rozejrzeliśmy się rano w prowjantach, których niestety, mogło wystarczyć zaledwie na jeden dzień. Na szczęście w San Jeronimo nie brakowało świń i bydła rogatego, a więc braku jedzenia nie potrzebowaliśmy się obawiać. Gorzej przedstawiała się sprawa z dalszą podróżą, przerwaną tak nieoczekiwanie. Okręty kursują po Amazonce zaledwie raz na miesiąc, a więc normalnie rzecz biorąc, należałoby czekać na pomoc około 4 tygodni. Trzeba jednak szczęśliwego trafu, że właśnie w tym czasie Norddeutscher Lloyd zdecydował wysłać jeden swój okręt towarowy z Bremen do Iquitos w celu zbadania możliwości założenia na Amazonce linji konkurencyjnej, i że okręt ten nadjechał do San Jeronimo zaraz na drugi dzień po naszem rozbiciu. Około godziny trzeciej popołudniu przybiegł zziajany Indjanin i łamaną portugalszczyzną objaśnił, że widać zdaleka okręt. Wybiegliśmy wszyscy na brzeg i sporządziwszy chorągiewki z ręczników, zaczęliśmy dawać przy pomocy alfabetu Morse'a sygnały „S. O. S.“. Okręt początkowo nie zrozumiał o co chodzi, a nasze znaki i alarmujące strzały przyjął za wyraz radości niemieckich kolonistów, których spodziewał się spotkać na brzegach Amazonki. Dopiero krzyk naszych ludzi, wysłanych łodzią na środek rzeki, przekonał ich, że mają do czynienia z czemś innem, co wymaga zatrzymania maszyn. Oczywiście kapitan zgodził się zabrać rozbitków i przewieźć ich na miejsce, w którem moglibyśmy być spokojni o swoje bezpieczeństwo.

Przy pomocy Indjan Manoela Mafry przenieśliśmy swoje bagaże na łodzie i przewieźliśmy je na niemiecką „Opheljęˮ. Po tygodniowej podróży dotarliśmy szczęśliwie aczkolwiek niewygodnie, do Iquitos“.

POLOWANIE NA GŁUSZCE.

PRZYGODY MYŚLIWSKIE W PUSZCZY POLESKIEJ.

Nigdy nie zapomnę tego pamiętnego polowania wśród puszcz Polesia.

Trofim, chłop miejscowy, który kierował naszą wyprawą myśliwską na głuszce, zaczął mnie wtajemniczać w niektóre zwyczaje tych ciekawych ptaków. Noc była ciemna bezksiężycowa. Po krótkotrwałym śnie słuchałem go mocno zziębnięty.

— Głuszec — rozpoczął Trofim — z początku tokuje nader ostrożnie. Tok... i umilkł. Siedzi sobie na sęku, wytężając słuch na wszystkie strony. Następnie znów — tok, tok... i znów cicho. Broń Boże ruszyć się wówczas lub jakikolwiek szelest wydać — już go niema! Słychać tylko poszum skrzydeł i basta. Bo chociaż go głuszcem wabią, ale trudno o bardziej czujnego odeń ptaka... Wtem, jak ci znienacka zasyczy! Wtedy ze wszystkich sił należy skakać naprzód. Z całej mocy! Skoczył pan pięć razy i stój... czekaj dalszej piosenki. Znów szybko zagra, a tam sobie znów zasyczy. Wtedy naprzód kilka kroków i znowu stanąć w oczekiwaniu piosenki. Zdarza się, że głuszec, jak się roztkliwi, to ze trzydzieści piosenek bez odpoczynku wyśpiewa,—pańska rzecz skakać naprzód i już! A później, jak umilknie, to ani rusz, jakby mu się gardziel zatkała... Pół godziny szubrawiec będzie podsłuchiwał. Niema na to żadnej rady: gdzie się stanęło, tam należy dalej stać. Czekaj tatko latka! Czasem ugrzęźnie się w jakiemś bagnie po pas, drży na całem ciele, jednak wytrwać trzeba! Stój, gdzieś stał, chociaż nogi zdrętwiały, po plecach ciarki przechodzą, ręce bolą. A jak on znów zacznie śpiewać, to niech pan jedną piosenkę opuści. Bywają wśród nich tacy cwaniacy, że strzelca w pole wyprowadzają. Wpierw on ci tokuje... robisz skok, a on sobie zamilkł. Poczeka nieco i zaczyna charczeć: chr... chr... Daje on w ten sposób znać innym głuszcom: strzeż się — gada — strzelec idzie! Bieda, jeśli natrafi się na takiego głuszca! Cały dzień siedzi huncwot na sęku i pilnuje, czy czasem kto nie idzie...

Była już czwarta nad ranem, należało więc wyruszyć w drogę. Zaledwie jednak zrobiliśmy kilka kroków, odniosłem wrażenie, żem się znalazł w jakimś ogromnym kałamarzu: tak było ciemno. Stanąłem niezdecydowany. Wtem usłyszałem głos Trofima:

— Czemuś pan stanął? Idź pan za mną!

Idę, przysłuchując się jego krokom, ostrożnie stąpam po ziemi i trzymam ręce przed sobą, aby się nie natknąć twarzą na ostry sęk. Już samo to oczekiwanie nieszczęśliwego wypadku wywołuje silny nerwowy ból w oczach. Idziemy wprost przed siebie po bezdrożu. Nogi grzęzną po kolana w mokrym rozpływającym się śniegu, momentalnie zamieniającym się w jakąś błotnistą ciecz. Mijamy moczary, niekiedy twardsze pagórki, jakieś mchy... Ale gdzie jesteśmy? Dokąd dążymy naszą fantastyczną bezsensowną drogą? Wtem przed samą moją twarzą wyrasta jakieś drzewo. Zaledwie zdążyłem się zatrzymać, aby uniknąć zderzenia... Wyciągam rękę, ale nie mogę niczego namacać prócz egipskich wprost ciemności. Trofim domyśla się mego strachu i stara się dodać mi otuchy, ale w tym samym momencie sam wpada do jakiegoś dołu. Skończyło się jedynie... na moim strachu, bo Trofim wylazł sobie z największą flegmą w świecie z tajemniczej dziury, do której był wpadł.

I znów się rozpoczyna dreptanie po błotach i bagniskach. W pewnym momencie Trofim staje. Objaśnia mię, że będziemy przechodzili rzeczkę. Był to strumyk nie bardzo głęboki, ale tak szybko pędził po spadzistym w tem miejscu gruncie, że musiałem z ogromnym wysiłkiem utrzymywać równowagę na śliskiem dnie rzecznem. Niekiedy natrafiałem na głębsze miejsca i wówczas pogrążałem się w nie po pas, tak że mi aż dech zapierało ze strachu. Nareszcie wyszliśmy na brzeg piaszczysty.

Noc nieco się rozjaśniła i w niejasnych kształtach rozróżniałem już postać Trofima oraz sosny, poranną mgłą spowite.

— A teraz, — szepnął mi do ucha Trofim,—niech się pan zachowuje cichutko: podchodzimy do tokowiska. „On“ jeszcze z wieczora siadł sobie na miejscu a teraz obudził się i słucha.

— A czy prędko rozpocznie? — zapytałem także szeptem.

— Cicho!... Wpierw zagrają żórawie...

Rzeczywiście, wkrótce po całym lesie rozległy się jakieś jęki harmonijne, wydawane przez dziesiątki głosów. Skoro tylko ten niewidzialny chór milknął, odpowiadało mu natychmiast inne stado żórawi: uurły, urłu-rły, urłu-rły. Ten apel poranny był jakby sygnałem dla całego lasu. Zając zaczął drzeć się drżącym przerywanym sopranem, gdzieś blisko od nas rozległ się przenikliwy głos cietrzewia, sowa roześmiała się na wierzchołku wysokiego drzewa... I znowu wszystko zcichło, pogrążając się w poprzednią czujną drzemkę. I znów stoimy, milcząco i nieruchomo.

Wtem Trofim drgnął, wyciągnął szyję pochylił się naprzód całem ciałem i w tej naprężonej wyczekującej pozycji jakby skamieniał.

— Gra! — szepnął Trofim, —słyszy pan?

— Nie...

— Wszystko jedno! Chodź pan za mną! Jak skoczę, to pan też! Noga w nogę... A jak pan zupełnie wyraźnie usłyszy, niech pan powie, — wówczas się rozłączymy. O, słyszy pan? Już zagrał!

Ale ja w dalszym ciągu nic nie słyszałem. Wtem Trofim, jakby podrzucony niewidzialną sprężyną, zerwał się z miejsca i zrobił trzy wielkie susy po śniegu głębokim, poczem stanął, jak wryty. Nie nadążyłem za nim i byłem spóźniony o jeden krok. Trofim odwrócił się ku mnie i milcząc, pogroził mi palcem.

Za chwilę sprężyna znowu rzuciła go naprzód. Teraz jednakże udało mi się trafiać w ślady, które nogi mego przewodnika wyciskały na głębokim śniegu, dzięki czemu stanąłem jednocześnie z nim. Trofim kiwnął głową z zadowoleniem.

Zrobiliśmy w ten sposób może jakie dwadzieścia przebiegów, gdym wreszcie usłyszał grającego głuszca. Były to suche urywane dźwięki z odcieniem metalicznym. Miałem wrażenie, jakgdyby ktoś przytykał paznokciem po blaszanej puszce. Dźwięki te następowały parami, z początku w dość dużych odstępach, następnie coraz częściej, aż zlały się wkońcu w jeden ciągły klekot. W tej chwili rzuciliśmy się z Trofimem naprzód, podrzucając wysoko nogi i rozsypując wokoło siebie wilgotny śnieg.

— Trofimie! — szepnąłem, pociągnąwszy go za rękaw, — teraz ja...

Ale on bez ceremonji wyrwał rękę i pokręcił z wyrzutem głową. Dopiero wówczas, kiedy głuszec znów zaczął swe trele, Trofim zwrócił się do mnie ostro i krzyknął:

— Wolno mówić tylko pod śpiew! Czekaj pan!

A kiedy znów się rozległy trele, dodał również głośno i prędko:

— Pamiętaj pan: mierzyć pod śpiew, ładować pod śpiew, strzelać pod śpiew!

Wreszcie podczas nowych trelów rzekł już z większym spokojem:

— Zechcesz pan kaszleć... też pod śpiew. A teraz... naprzód!

Głuszec wkrótce zagrał po raz czwarty. Rzuciłem się przed siebie. Jednocześnie pobiegł Trofim, lecz nie za mną, a w przeciwnym kierunku. W ten sposób za piątym przebiegiem straciliśmy się wzajemnie z oczu i zostałem samotny.

Serce biło mi tak silnie, a nogi tak drżały, że postanowiłem przeczekać kilka piosenek, aby przyjść do siebie. Tymczasem czyste tony przechodzić zaczęły w szorstkie i ostre dźwięki, podobne raczej do zgrzytu, lub do syczenia. Trwa to jakie cztery sekundy, ale za to w tym krótkim przeciągu czasu głuszec nic nie widzi, ponieważ przymruża zupełnie oczy, podczas gdy uszy jego zakrywają się hermetycznie. Można wówczas wystrzelić z armaty w odległości kilkunastu metrów od jego głowy: nie zwróci najmniejszej uwagi na strzał i dokończy swego śpiewu. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że wszystkie te dźwięki wydaje głuszec zapomocą swego twardego i zakrzywionego dziobu. Głuszec jest to jedyny ptak, który nie posiada języka, ale zato jego olbrzymia jama ustna służy jako doskonały rezonator.

Rozpoczynając piosenkę, uderza on górną częścią dziobu o dolną. Uderza i przy-

słuchuje się, przyczem powtarza to coraz częściej, póki nie przechodzi w trele. Wtedy nie jest już w stanie się zatrzymać. W rozkosznym zachwycie trze on jedną szczękę o drugą, okrutnie zgrzyta niemi i zapomina wówczas o niebezpieczeństwie, o swych licznych wrogach i o wszystkiem na świecie.



Głuszce na tokowisku.

Podczas gdy ja odpoczywałem, głuszec przestał grać i milczał jakie dziesięć minut. Następnie zagrał raz, ale cicho, ostrożnie, jakby niechętnie, potem zagrał po raz drugi, tokując coraz częściej i nie mogąc się już zatrzymać. Stosownie do udzielonej mi przez Trofima wskazówki, opuściłem pierwszą pieśń i ruszyłem naprzód dopiero podczas drugiej piosenki. Podczas przerw stawałem, jak wryty na miejscu, mimo że wpadałem nierzadko w błoto lub przebijałem swem ciałem cienki lód. W miarę tego, jak posuwałem się naprzód, pieśń stawała się coraz głośniejsza. Wreszcie usłyszałem piosenkę tuż nad głową, lecz dojrzeć głuszca nie mogłem, bo było jeszcze za ciemno. Ptak tak się rozgorączkował, że śpiewał już bez przerwy, zapomniawszy o wszelkiem niebezpieczeństwie. W skrzeczących dźwiękach jego głosu było coś przedpotopowego, co przywodziło na myśl epokę, kiedy to zwierzęta i ptaki o kształtach bajecznych nawoływały się strasznemi głosami w tajemniczych lasach pierwotnych...

Głuszec znowu zagrał. Pociągnąłem za cyngiel, ale nie trafiłem. Głuszec przerwał na chwilę śpiew, ale wnet rozpoczął nanowo z większą jeszcze zawziętością.

Wkrótce rozległ się wystrzał Trofima. Podczas gdym ja tak stał niezdecydowany, wystrzelił on po raz drugi. Wówczas podniosłem głowę i ujrzałem głuszca. Grając swą pieśń, na przemian wyciągał przed się i znów wciągał szyję, zupełnie tak samo jak to robi indyk; niekiedy zaś wykręcał się na sęku, opuszczając nadół skrzydła i hałaśliwie rozwijając ogon wachlarzowaty. We wszystkich jego ruchach było coś nadętego, była jakaś mieszanina powagi i komizmu.

Wycelowałem i wystrzeliłem po raz drugi. — Tym razem nie spudłowałem. Głuszec bęcnął nadół, jak kamień. Podbiegłem ku niemu. Żył jeszcze, machając wściekle potężnemi skrzydłami i podskakując w konwulsjach Ale jego męczarnie nie były długotrwałe. Grzbietem wpadł do jakiejś kałuży i nie mógł się już więcej podnieść. Szyja jego wychylała się z wody, wreszcie drgawki przeleciały mu po nogach i wszystko się dlań skończyło.

Podniosłem go. Co do wielkości równał się indykowi średnich rozmiarów. Jego szyja i brzuszek były czarne, grzbiet jasnobronzowy, brwi czerwone, łapki miał w czerwonych spodenkach, oczy okrągłe, bronzowe o dużych czarnych źrenicach.

Wkrótce spotkałem się z Trofimem, który niósł dwa głuszce na plecach. Pochwalił się przede mną swoim doskonałym „kawałem". Celując mianowicie w jednego głuszca, czekał aż drugi zagra. W tej chwili wystrzelił, zabijając jednego z głuszców, podczas gdy drugi, uniesiony własnym śpiewem, nie dosłyszał wystrzału. Potem zastrzelił go zkolei, zdobywając w ten sposób obydwa ptaki.

Kiedyśmy wracali, las już się przebudził i pełen był radosnego życia ptaków. Sosny, osypane złotym pyłem, grzały się w pierwszych promieniach wiosennego słońca.

SAMOLOTEM NA SPACER.

W Polsce komunikacja samolotowa jest naogół dość słabo rozwinięta. Przyczyną tego — nieufność szerszej publiczności do „niebezpiecznego“ środka lokomocji, oraz brak wielkich kapitałów, potrzebnych do zakładania i eksploatowania linij lotniczych. Zagranicą natomiast, zwłaszcza w Anglji i Ameryce, komunikacja lotnicza stała się już zjawiskiem powszednim i zaczyna powoli konkurować z koleją i żeglugą.

Przy należytem zastosowaniu współczesnych zdobyczy technicznych, loty nawet na dłuższe dystanse nie przedstawiają niebezpieczeństwa. Dowodem tego — statystyka ruchu samolotowego na odcinku Londyn—Paryż, gdzie codziennie kursuje kilka samolotów, przewożących pasażerów, pocztę i bagaże. Otóż w roku ubiegłym nie wydarzyło się *ani jednego wypadku*, któryby pociągnął ofiary w ludziach. Ilość lotów, które odbyły się zupełnie „gładko“, ściśle według rozkładu jazdy, sięga 97 %. Zaledwie 3% lotów zostało odłożonych z powodu gęstej mgły. Jest to wynik, którym lotnictwo może się szczycić!

Równolegle do rozwoju wielkich linij lotniczych idzie popularyzacja lotnictwa prywatnego. Obecnie moda nakazuje każdemu bogatemu Anglikowi mieć własny samolot, którym udaje się na partję golfa do znajomych, mieszkających na wsi, lub na wybrzeże morskie. Zwykle taki samolot jest pilotowany przez właściciela. Przy małej wprawie świeżo upieczonych pilotów stają się możliwe wypadki, jak ten, co widzimy na naszej rycinie. Ale nawet lotnictwo prywatne może się chlubić, że w ciągu całego roku nie było ani jednej katastrofy śmiertelnej. Porównajmy ten wynik z ilością nieszczęśliwych wypadków samochodowych i kolejowych: zestawienie mówi samo za siebie!



Nieudane lądowanie.
Samolot „spacerowy“, pilotowany przez sportowca angielskiego, niefortunnie „wylądował“... na drzewie, w lesie Southerneross, wpobliżu Londynu.



TO i OWO

Widzenie na odległość.

Problem przenoszenia fotografji na odległość drogą telegraficzną czy radjotelegraficzną można obecnie, po wynalazkach Francuza Belina, Węgra Michalyego i Niemca Carolusa, uważać za rozwiązany. Jednakże w tych dniach, jak doniosły lakonicznie depesze, na linji Nowy Jork — Londyn udało się przeprowadzić próby z nową konstrukcją inż. Bairda, która umożliwia nietylko przenoszenie na odległość fotografji, lecz wprost widzenie, i to w ten sposób, że osoby, znajdujące się przed aparatem nadawczym w Londynie, widziano wyraźnie na płycie aparatu odbiorczego w Nowym Jorku.

Szczegóły tej pierwszej próby widzenia na odległość przeszło 5000 kilometrów przedstawiają się następująco:

Prób dokonywano pomiędzy laboratorjum inżyniera Bairda w Coventgarden w Londynie, a pracownią p. Hutchinsona, prezydenta amerykańskiej spółki akcyjnej do eksploatacji wynalazków z zakresu telewizji. Pracownia ta znajduje się na jednem z przedmieść Nowego Yorku. Próby śledzono w kołach fachowych ze zrozumiałem zainteresowaniem, choć nie rokowano im narazie powodzenia. — Sukces jednak był zupełny.

Najpierw ustawiono przed aparatem nadawczym manekin w wysokiej czapce. W kilka chwil później na ekranie aparatu odbiorczego pojawiły się mgliste jego kontury, które niebawem zaczęły występować coraz wyraźniej, aż wreszcie osoby, znajdujące się w pracowni nowojorskiej, ujrzały lalkę ze wszystkimi szczegółami. Następnie przed aparatem nadawczym stanął sam konstruktor. Tym razem próba udała się znacznie lepiej, gdyż w Nowym Yorku poznano go natychmiast i odróżniono każdy jego ruch. W dalszym ciągu przed aparatem nadawczym stanął dziennikarz Fox, który wykrzywiał twarz w różne grymasy i gestykulował przy tem ręką. Ostatnią próbą była transmisja obrazu pewnej pani. Płeć piękna nie miała jednak szczęścia, gdyż próba ta udała się gorzej, niż poprzednie.

W kołach fachowych uważa się aparat Bairda za pierwsze zadowalające rozwiązanie problemu telewizji w ścisłem znaczeniu. Inżynier Baird pracował nad swym wynalazkiem przez kilka lat. Warto podkreślić charakterystyczny szczegół, że do pierwszych swych prób używał on prawdziwego oka ludzkiego.

Szczegóły konstrukcji aparatu trzymane są narazie w tajemnicy.

Koncert na łopacie.

Przytoczone niżej fakty wydają się nam na pierwszy rzut oka tak dziwnemi, że łatwo możnaby było wziąć je za owoc wybujałej fantazji dziennikarskiej, gdyby nie zostały one podane przez poważne pismo fachowe: „Tydzień Radjowy", wychodzący w Poznaniu.

Zauważono już często, że przedmioty, nie pozostające w żadnej łączności ze sprzętem radjowym, zgoła nieoczekiwanie i w sposób niewytłumaczony przekazywały emisje radjowe. Tak więc tabulator, który wskazywał kolejność pięter przy windzie, przekazywał wyraźnie cały program, jaki nadawała stacja radjowa w Des Moines w Ameryce. Również głośny był swego czasu aparat telegraficzny w New Jersey, który raz poraz urządzał sobie muzykę i wykłady. Aparaty te wchodzą jednak w zakres techniki komunikacyjnej i zawierają cewki oraz magnesy, wrażliwe na fale elektryczne.

Upiorny był figiel, jaki wyrządziła przestraszonemu otoczeniu łopata, oparta o ścianę pokoju pewnego mieszkania w Szwecji. Ni stąd ni zowąd, pewnego pięknego dnia, zaczęła wygrywać cały koncert symfoniczny, nadawany z miejscowej radjostacji. Wypadek wzbudził taką sensację, że był szczegółowo badany przez najwybitniejszych fachowców z dziedziny techniki radjowej.

Dotąd jeszcze pozostał jednakże zagadką, choć odkryto pewne poszlaki, które wyjaśniają częściowo tajemniczą łączność między łopatą a odbiorczym aparatem.

Łopata stała bowiem w pobliżu instalacji elektrycznej, która równocześnie służyła jako pomocnicza antena. W instalacji zachodziły więc falowania, odpowiadające długości fal miejscowej stacji. Przechodziły one na części żelazne łopaty, ponieważ znajdowała się ona w obrębie magnetycznego pola instalacji. Należy przypuszczać, że własne falowanie łopaty pokrywało się z falowaniem instalacji i w ten sposób łopata stała się głośnikiem.

Żyjemy w świecie fal radjowych; każda domowa instalacja elektryczna, rury gazowe i wodociągowe, żelazne drągi do firanek, słowem wszystkie części żelazne domowego gospodarstwa przenikają elektryczne fale, i od nas zależy tylko, by te fale wzmocnić. Czasami wzmocnienie to, jak widzieliśmy, dokonuje się bez naszej pomocy dzięki wyjątkowym warunkom, w jakich się dany przedmiot znalazł.

Jakie wynalazki są nam jeszcze potrzebne?

Organizacja wynalazców angielskich, „Instytut Patentowy", liczący 15.000 członków z lordem Asquith na czele, wydała piąty rocznik pod tytułem „What's wanted?" (Czego potrzeba?").

Czego nam jeszcze potrzeba? Nad czem potrzebują łamać głowy ludzie, obdarzeni darem wynalazczym? Z długiej i urozmaiconej listy przedmiotów, których wynalezienie wydaje się pożądane wydawcom rocznika, podajemy spis tych, które zainteresować powinny nietylko wynalazców. A zatem potrzeba jeszcze wynaleźć:

Ostrze brzytwy, którego nie byłoby potrzeba ostrzyć na nowo.

Welocyped z elektrycznym zapędem.

Negatyw fotograficzny, który możnaby wyświetlać także przy świetle dziennem.

Skrzynkę pocztową, podającą automatycznie wagę listu i wysokość ofrankowania, a po wrzuceniu odpowiedniej monety, frankującą i stemplującą list.

Sposób, który w zimie, kiedy okien otwierać nie można, zapobiegałby osiadaniu dymu w pokoju albo też przyrząd do wchłaniania dymu tytuniowego.

Sposób do przytłumiania hałasu ulicznego i do zapobiegania wstrząśnieniu kamienic w czasie wielkiego ruchu automobilowego.

Przyrząd automobilowy, który chroniłby przechodniów od opryskania błotem (Jest już taki wynalazek polski, stosowany przy autobusach w Warszawie).

Składany parasol, który mężczyzna mógłby nosić w kieszeni a kobieta w torebce.

Aparat ssący do uprzątania skrawków papierowych i różnych odpadków z ulic i parków.

Sposób fabrykacji ogniotrwałego papieru.

Ołówek, piszący tak czarno jak atrament.

Tablice z napisami ulic, które w dzień, jak w nocy, przechodnie i automobiliści mogliby dobrze odczytywać.

Samodziałający hamulec przy wózkach dziecięcych, który zahamowałby wszystkie cztery koła w tej samej chwili, kiedy puściłaby go popychająca wózek ręka.

Flaszka do trucizny, którą bez omyłki możnaby rozpoznać.

Zimne światło.

Wieczne pióro, które według potrzeby dostarczałoby atramentu w trzech różnych kolorach.

Tajny telegraf bez drutu.

Kamerę, zapomocą której możnaby fotografować w ciemności.

Atrament, który schnie natychmiast a zatem czyni bibułę zbyteczną.

Kiedy zabraknie miejsca na ziemi?

Kwestja grożącego poważnie przeludnienia na kuli ziemskiej jest szeroko dyskutowana w ostatnich czasach wśród laików, a nawet wśród uczonych. Słowa Schillera: „Ziemia pomieści wszystkich" są rozważane nader pesymistycznie przez uczonych.

Angielski antropolog A. Ross w dziele „Miejsce tylko do stania" przeprowadza badania nad liczbą ludności ziemi i od 60 lat. Według niego liczba mieszkańców naszej

planety wynosiła od 1870 do 1890 roku 1450 miljonów, w ciągu zaś lat 1890 — 1900 i 1500 miljonów, w roku 1924 znajdowało się na świecie 1900 miljonów ludzi.

Według obliczeń australijskiego statystyka George Knibbs'a przyrost ludzi wynosi od 100 lat 8,40 na 1.000. Codziennie umiera 100 tysięcy ludzi a rodzi się 150 tysięcy. Po upływie więc tysiąca lat, każdy człowiek miałby do rozporządzenia tylko jeden metr kwadratowy, z którego musiałby się wyżywić. Obecnie, zdaniem Ross'a, typowym przykładem tej przyszłej epoki są Chiny, gdzie na jednego mieszkańca przypada 2 metry kw. ziemi i gdzie epidemje i klęski żywiołowe uważa się za dobrodziejstwo. Podobne stosunki panują w Indjach, na Jawie i w Portoriko. Ludności przybywa w zatrważający sposób, zwłaszcza w Chinach, mimo nadzwyczajnej śmiertelnosci wśród dzieci, których 87 proc. umiera w pierwszym roku życia 9, 10 proc. zaś nie osiąga drugiego roku.

Cóż będzie więc w przyszłości? Zdaniem Ross'a, ziemia może wyżywić przy obecnym stanie rolnictwa i przemysłu 5 miljardów ludzi, przy wzmożonej zaś wydajności uprawy roli, mogłoby egzystować 7 miljardów ludzi na ziemi. Stosując zaś nadzwyczajne środki i ograniczenie potrzeb, 11 miljardów ludzi z trudem mogłoby wieść nędzny żywot na całej kuli ziemskiej Zupełnie jednak poważnie należy liczyć się z możliwemi kataklizmami, które w ostatnich zwłaszcza czasach zbierają obfite żniwo wśród mieszkańców ziemi.

Ile lat człowiek prześpi?

Gdyby komuś powiedzieć, że przespał 20 lat, toby wruszył ramionami, jak przed warjatem. A jednak pewien Anglik obliczył (bo czego oni nie obliczają), że człowiek liczący 60 lat życia, przesypia 20 lat.

Liczy w ten sposób: 7 godzin pracy, $1\frac{1}{2}$ godziny na jedzenie, 3 godziny rozrywki, $2\frac{1}{2}$ godziny ruchu, 1 godzinę na toaletę, 1 na ubranie a 8 godzin na spanie.

W ciągu lat 60 te 8 godzin snu codziennego uczynią lat 20. Na właściwą pracę przypadła 17 i pół roku.

Tak oblicza Anglik; nie wszyscy jednak mają czas na rozrywki, ruch i na toaletę. Ci z pewnością daleko więcej lat poświęcają pracy, a mniej prześpią.

Jak pracowali wielcy ludzie?

Wychodzące w Łomży sympatyczne pismo „Echo Szkolne", wydawane i redagowane przez młodzież gimnazjalną, zamieszcza kilka ciekawych wiadomości z życia wielkich ludzi.

Ciekawość ludzka chętnie odsłania kulisę pracy wielkich ludzi. Jak pracowali? W jaki sposób tworzyli? Jakie warunki były do tego konieczne? Oto odwieczne pytania, które interesują wszystkich oddawna i koło których krążą liczne anegdotki.

Opowiadają więc np., że Sokrates, zastanawiając się nad rozwiązaniem jakiegoś problemu, miał zwyczaj zatrzymywać się na ulicy tak długo, (niekiedy parę godzin) aż znalazł odpowiedź.

Seneka tworzył najchętniej w łóżku, gdyż ciepło dobrze wpływało na jego umysł. Również w łóżku mieli zwyczaj pracować: Kalwin, Rossini i Mark Twain. Ten ostatni zwłaszcza potrafił po kilka dni nie wstawać z pościeli, gdy był w trakcie pisania jakiegoś ze swych utworów humorystycznych.

Knut Hamsun pisał wiele w nocy w łóżku. Opowiada on, że po paru godzinach snu budzi się w nocy i wówczas może najintensywniej i najprodukcyjniej pracować. Papier i ołówek zawsze leżą na jego stoliku nocnym. Doszedł on do takiej wprawy, że potrafił pisać nawet bez zapalenia światła.

Balzac kładł się spać wcześnie poto, by wstawać do pracy o północy i pisać aż do rana. George Sand zasiadała do pisania wówczas, gdy cała rodzina udawała się na spoczynek, a kładła się spać o świcie. Ł. Tołstoj pracował przy zamkniętych okiennicach i dwu zapalonych świecach, gdy cały dom pogrążony był we śnie. Dostojewski również chętnie pracował przy blasku zapalonych świec. Muzyk Gluck w dzień zapuszczał firanki i zapalał lampę do pracy. Schiller pracował chętnie, gdy czuł zapach gnijących jabłek, to też w szufladzie jego biurka leżało zawsze parę tych owoców.

Goethe dyktował swe dzieła, chodząc po pokojach z założonemi na plecach rękami.

Anatol France tworzył z męką. Każde zdanie sprawiało mu niesłychany trud. Zrywał się z miejsca i biegał po pokoju tak długo, póki nie ułożył następnego zdania.

Flaubert miał manję dokładności. Potrafił on przeczytać 400 stron naukowej pracy, by napisać dwa zdania opisu cyprysa i studjował sto dzieł o uprawie roli by nie minąć się z prawdą w powieści swej „Bouvard et Pecuchet". Dlatego też pracował nieledwie że bez przerwy od rana do wieczora, tak, że służący jego tylko w niedzielę przychodził po dyspozycję.

Wielki malarz Boecklin, powziąwszy raz pomysł, prawie nie odkładał pendzla, dopóki pracy swej nie wykonał. Wilhelm Busch z chwilą, gdy ukończył jakieś dzieło, nigdy już o niem nie wspominał: przestawało dla niego istnieć.

Człowiekiem, który mógł pracować zawsze, w każdej okoliczności, był Juljusz Cezar. W podróży, czy w domu, na ulicy, czy podczas uczty, zawsze mógł tworzyć, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się wokół niego działo.

Ibsen pisał codziennie jednakową ilość stronic i nic nie potrafiło go od tego odwieść. Podobny system pracy obrała ostatnio laureatka nagrody Nobla, Grazia Deledda, która codziennie trzy godziny spędza przy swem biurku.

Powietrzny olbrzym.

Po kilkuletnich pracach ukończono w Niemczech budowę nowego Zeppelina, to jest balonu, którym można dowolnie kierować. Jest to 127 Zeppelin zbudowany przez Niemcy.

Nowy ten statek powietrzny jest największy ze wszystkich dotychczasowych. Jest to prawdziwy olbrzym. Długość jego wynosi 235 metrów, szerokość zaś (w miejscu najszerszem) wynosi 30 i pół metra. Wygląda jak jakiś potwór powietrzny. Załoga obsługująca balon liczy 30 kilka osób. Mimo więc straszliwej klęski wojennej Niemcy rozwijają się a pod niejednym względem wyprzedzają innych.

* * *

Kapitan belgijski Coppens przebywający w Paryżu dokonał skoku ze spadochronem z samolotu z wysokości 6 tysięcy metrów. Śmiały lotnik spadł na ziemię szczęśliwie, bez żadnych obrażeń. Jest to pierwszy skok z takiej wysokości. Dodać trzeba, za kapitan Coppens jest kaleką: stracił podczas wojny nogę.



Domy w powietrzu.

Ameryka jest krajem gdzie wszystko się sprzedaje... nawet powietrze. Na rysunku naszym widzimy kilka potężnych „drapaczy nieba", wzniesionych niedawno w Chicago. Przedsiębiorczy kapitalista, nie chcąc płacić bajońskich sum za place pod budowle, zbudował na wysokości kilkunastu metrów nad koleją masywne stalowe rusztowania, na nich założył fundamenta i postawił kilka „drapaczy". Ale po zakończeniu budowy dyrekcja kolei wytoczyła proces o zajętą przez te gmachy przestrzeń powietrza, i proces ten wygrała. Sąd uznał, że całe powietrze, znajdujące się nad danym obszarem ziemi, należy do właściciela tego obszaru, i nikt nie ma prawa mu go zabierać.

O. HENRY.

PO DWUDZIESTU LATACH.

O. Henry jest uznanym mistrzem amerykańskiej krótkiej noweli Ustanowiono nawet specjalną „nagrodę imienia Henry'ego" za najlepszą nowelę, o którą co rok ubiegają się najlepsi literaci Stanów Zjednoczonych.

Policjant kroczył z majestatyczną powagą wzdłuż szerokiej ulicy, obchodząc swój rewir. Majestatyczna powaga stała się widocznie u niego przyzwyczajeniem, bo w tej chwili widzów nie było prawie żadnych. Mimo że godzina była jeszcze wczesna, — coś koło dziesiątej wieczór, — ulice były puste. Zimny, przejmujący wiatr, który nawiał z morza tumany drobnego wodnego pyłu, zapędził wszystkich przechodniów do domów.

Po drodze policjant sprawdzał, czy drzwi sklepów są pozamykane, wymachiwał swą pałeczką, zakreślając w powietrzu najprzerozmaitsze esy floresy, i obrzucał przenikliwem, ostrem spojrzeniem bezludną cichą ulicę. Jego wysoka muskularna postać i energiczne ruchy nadawały mu wygląd prawdziwego „stróża porządku". Rzecz się działa w dzielnicy, gdzie życie dzienne zamiera bardzo wcześnie. Od czasu do czasu napotykało się oświetlone okna otwartej przez całą noc trafiki lub restauracji, ale większość drzwi należała do sklepów już dawno zamkniętych i opuszczonych na noc przez właścicieli.

Przechodząc koło olbrzymiej mrocznej kamienicy, policjant nagle zwolnił kroku. Tam oparty plecami o drzwi, prowadzące do jakiegoś sklepiku z żelazną galanterją, stał jakiś mężczyzna, trzymając w ustach niezapalone cygaro. Gdy policjant zbliżył się do niego, nieznajomy przemówił pośpiesznie:

— Wszystko w zupełnym porządku, panie policjancie, — rzekł uspokajająco. — Czekam tutaj na jednego kolegę. Dwadzieścia lat temu umówiliśmy się z nim spotkać w tem miejscu. To się wydaje panu komiczne, nieprawdaż? Ale muszę to dokładnie panu objaśnić, bo widzę, że pan się niepokoi, czy wszystko jest w porządku. To już było istotnie dawno, bardzo dawno... wówczas na tem miejscu, gdzie teraz wybudowano tego olbrzyma, znajdowała się restauracja... „Big Joe Bradys", — tak się nazywała...

— Restauracja była tutaj jeszcze pięć lat temu, — powiedział policjant. — Potem budynek zniesiono i postawiono nowy...

Człowiek, stojący w drzwiach, potarł zapałkę i zapalił swe cygaro. Płomyk oświetlił bladą twarz, o mocnym, kanciastym podbródku, ciemne oczy i malutką białą bliznę na prawej skroni. Krawat jego był spięty dużym brylantem w oryginalnej oprawie.

— Dwadzieścia lat temu, — powiedział nieznajomy, — w tym samym dniu siedziałem przy kolacji w tej restauracyjce z najlepszym moim przyjacielem, Jimmy Wellsem. Było to najbardziej poczciwe chłopczysko, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wychowaliśmy się razem tu, w Nowym-Jorku, jak dwaj bracia rodzeni. Miałem wówczas lat ośmnaście, a Jimmy może ze dwadzieścia. Miałem zamiar nazajutrz rano wyjechać na daleki Zachód, aby tam szukać szczęścia. Ale Jimmy nie można było poprostu wyciągnąć z Nowego-Jorku. Jego zdaniem, jest to jedyne miasto na świecie, gdzie warto mieszkać. No... więc właśnie wtedy umówiliśmy, że po dwudziestu latach, w tym samym dniu i godzinie, spotkamy się w tem miejscu, bez względu na to, co każdemu z nas życie przyniesie. Zdawało się nam, że w ciągu lat dwudziestu każdy z nas znajdzie swe miejsce w życiu, jakieby ono tam nie było...

— To brzmi bardzo interesująco, — zauważył policjant. — Zdaje się tylko, że ter-

min był nieco za długi. A czy pan słyszał coś o swoim przyjacielu, odkąd panowie się rozstali?

— A jakże, przez pewien czas nawet pisywaliśmy do siebie, — odpowiedział tamten. — Ale później, po dwóch—trzech latach, straciliśmy się z oczu. Widzi pan, Zachód jest dość obszerny, a ja w dodatku dużo podróżowałem. Ale wiem, mimo wszystko, że Jimmy zjawi się na miejsce spotkania, jeżeli tylko żyje jeszcze. Był dla mnie zawsze wiernym, zaufanym przyjacielem, którvby nie potrafił zdradzić starego druha. Zapomnieć on nie może, — to jest wykluczone. Przewędrowałem dwa tysiące kilometrów, żeby dziś o umówionej godzinie stanąć koło tych drzwi, ale gdy nadejdzie mój Jimmy, będzie to dla mnie dostateczną nagrodą...

Przy tych słowach wyjął z kieszeni drogi zegarek, wysadzany drobnemi bryIantami:

— Za trzy minuty będzie punkt dziesiąta, — zauważył. — Kiedy dwadzieścia lat tem żegnaliśmy się koło drzwi restauracji, była godzina dziesiąta.

— Pan widocznie zrobił tam, na Zachodzie, wcale niezłe interesa? — zapytał policjant.

— Ja myślę! Gdyby biednemu Jimmy powiodło się nawet dwa razy gorzej niż mnie, byłby on teraz bogatym człowiekiem. Ale wątpię... Stary Jim nie był stworzony do takiego życia. Ja też musiałem wytrzymać szaloną konkurencję. Powiem panu, że niejeden dyrektor banku na Zachodzie ostrzy na mnie zęby. Ale cóż z tego? Tam u nas wszyscy są tacy: zahartowani jak stal. Tu, to co innego...

— Jak długo pan jeszcze zamierza czekać? — zapytał policjant.

— Pół godziny, najwyżej. Zresztą, więcej nie trzeba. Jeżeli Jimmy jeszcze żyje, będzie on tutaj za kilka minut, nawet gdyby miał przyjechać z drugiego końca świata. Mówię panu, że to było poczciwe, morowe chłopisko, jak rzadko...

— Życzę panu przyjemnego spotkania, rzekł policjant — Muszę już odejść.

— Dobranoc panu! — odpowiedział tamten, znów nerwowym ruchem wyjmując zegarek.

Policjant poszedł dalej. W międzyczasie wiatr się wzmógł, a deszcz siekał twarz zimnemi ostremi strugami. Ulica opustoszała zupełnie: nie widać było żywej duszy. Tylko przed sklepem żelaznej galanterji tlił się ognisty punkcik cygara. Stał tam dziwaczny człowiek, który przejechał dwa tysiące kilometrów, aby spełnić przyrzeczenie, dane przed dwudziestu laty. Stał i czekał na drugiego dziwaka.

Po kilku minutach na ulicy ukazała się postać wysokiego, barczystego mężczyzny, szczelnie opatulonego w futro. Pośpiesznemi krokami szedł ku bramie, gdzie stał nieznajomy.

— Jimmy, to ty jesteś? — zawołał tamten, robiąc krok naprzód. — Wiedziałem, że mnie nie oszukasz, stary przyjacielu!

Obydwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce, i stali tak przez chwilę, w milczeniu, trzymając dłonie splecione w mocnym gorącym uścisku.

— Tak, Robercie, mogłeś być zupełnie pewny, że stawię się punktualnie. Ja też długo czekałem na tę chwilę, — odpowiedział wreszcie Jimmy.

— Ale zmieniłeś się, do licha!—zawołał żywo Robert. — Otyłeś, i gotówbym przysiąść, że nawet urosłeś od tego czasu. Wiesz, gdybym spotkał cię na ulicy, możebym nawet nie poznał ciebie! Toby było paradne!

— Miałem wówczas zaledwie dwadzieścia lat, gdy rozstaliśmy się z tobą, — powiedział Jimmy. — Możliwe, że rzeczywiście trochę urosłem. Ale cóż to my stoimy tutaj w ciemnościach. Chodźmy, parę kroków stąd jest restauracja, wstąpmy tam na chwilę...

Jimmy wziął przyjaciela pod rękę i obydwaj ruszyli wzdłuż ciemnej ulicy. Szli milcząc: widocznie każdy chciał opanować nerwy, wstrząśnięte tem tak oddawna oczekiwanem spotkaniem.

W postaci Roberta jednak wyczuć można było pewne niezdecydowanie. Parę razy ostrem spojrzeniem obrzucił twarz przyjaciela, i za każdym razem zdziwienie malowało się na jego twarzy. Gdy na rogu ulicy obydwaj wstąpili w krąg światła, rzucany przez latarnię elektryczną, Robert nagle szarpnął się i wyrwał rękę z ręki przyjaciela.

— Panie! — zawołał ostro, — pan mnie oszukuje! Nie jesteś pan wcale Jimmy Wellsem. Dwadzieścia lat to porządny kawał czasu, ale nawet i dwadzieścia lat nie zrobią z prostego nosa haczykowaty!

— Ale za to dwadzieścia lat mogą zrobić z porządnego człowieka łotra! — odparł tamten. — Jesteś pan aresztowany, panie Lloyd! Ostrożnie, bez głupstw! Wyjm pan natychmiast rękę z kieszeni, bo inaczej... Podziwiam pańską śmiałość, panie Lloyd! Żeby tak znany fałszerz czeków ośmielił się przyjechać do Nowego Jorku, gdzie go zna każdy policjant z fotografji i niezliczonych listów gończych! Musiałeś go pan naprawdę kochać, tego Jimmy. Za parę minut zaprowadzę pana do policji, ale przedtem niech pan przeczyta tę oto kartkę. To od polismena Wellsa.

Aresztowany wziął kartkę i zaczął ją czytać przy migającem świetle latarni:

„Robercie! Poznałem ciebie natychmiast, jak tylko zapaliłeś cygaro. Ale aresztować ciebie było ponad moje siły. Dlatego wezwałem inspektora Webstera, który ma to zrobić zamiast mnie.
Jimmy Wells.“

Podczas czytania nieco przybladła twarz aresztowanego wyrażała martwy spokój. Potem wargi mu zadrżały, i dziwny grymas, jak potworna maska śmiechu, wykrzywił mu usta.

Podarł kartkę i rzucił strzępy w błoto uliczne.

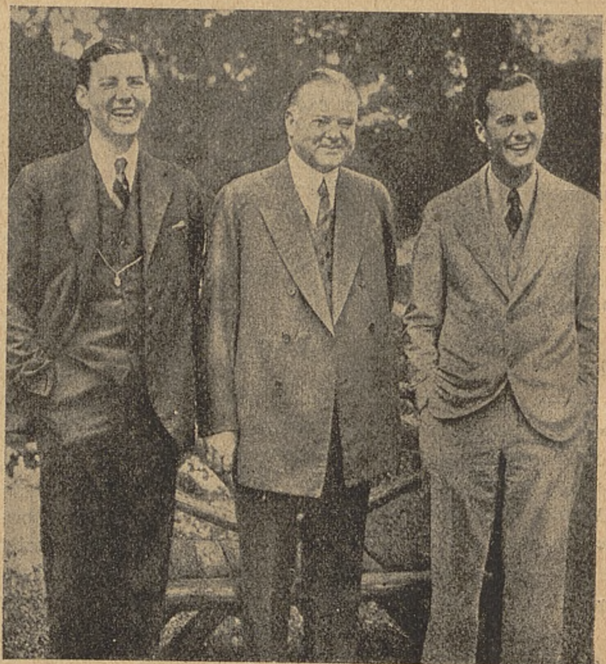
— Jestem gotów, — rzekł krótko. — Chodźmy...

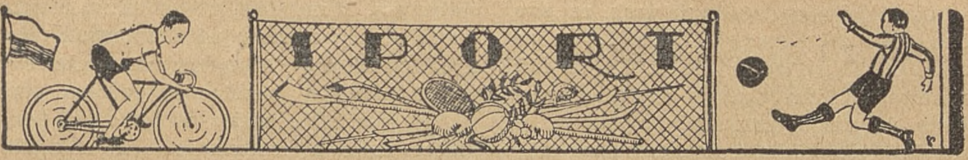
PRZYPOMINAMY NASZYM CZYTELNIKOM, ŻE TERMIN
KONKURSU LITERACKIEGO
NA NAPISANIE NAJLEPSZEGO DOKOŃCZENIA NOWELI
TAJEMNICA WUJA FRANCISZKA
UPŁYWA Z DN. 20 GRUDNIA 1928 R.

SZCZEGÓŁOWE WARUNKI KONKURSU Z 2-MA PREMJAMI I-a **150** ZŁ.; II-a **50** ZŁ. BYŁY UMIESZCZONE W Nr. 11 „MOJEGO PRZYJACIELA".

Prezydent Hoover.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Herbert Hoover, należy do typu t. zw. „self-made-man'ów“, — ludzi, którzy własną pracą utorowali sobie drogę w życiu. Ameryka podziwia w swym prezydencie zdolność do wytężonej wytrwałej pracy, energję i rozległą wiedzę fachową; Europa zaś pamięta na szeroką skalę zakrojoną dobroczynną działalność Hoovera, która w ciężkim okresie powojennym uratowała życie tysiącom dzieci zniszczonej przez wojnę Europy. „Pomnik wdzięczności“ i „Ogród Hoovera“ w Warszawie będą przypominały przyszłym pokoleniom wspaniałomyślną akcję Ameryki w ciężkiej dla Polski chwili.





BIEGIEM PRZEZ AMERYKĘ...

SUPER - MARATON AMERYKAŃSKI. — 5500 KILOMETRÓW W 573 GODZINY. — NA CZEM POLEGA SZTUKA BOKSERSKA. — DEMPSEY NA SCENIE TEATRU. — HITOMI I SZAMANOWA. — KOMBINACJE FOOTBALLOWE.

Zapewne najdłuższy z biegów na dalekie dystanse, jaki wogóle kiedykolwiek miał miejsce, odbył się na początku 1928 roku w Stanach Zjednoczonych. Rzutki i przedsiębiorczy organizator imprez sportowych, Amerykanin Pyle, zaaranżował „bieg transkontynentalny“ — od Los Angeles do Nowego Jorku — w którym wzięło udział 250 zawodników. Tylko 55 z nich ukończyło bieg. Zwycięzca, Andy Payne ze stanu Oklahama, przebiegł 5500 kilometrów w ciągu 533 godzin, 4 minut i 34 sekund. 15 godzin później dotarł do mety Finlandczyk Salo, wyprzedziwszy murzyna Granvilla i znanego włoskiego szybkobiegacza Umeka. Zwycięzca tego gigantycznego „Super - Maratonu“ otrzymał 25.000 dolarów; pozostałe nagrody wynosiły 10.000, 5.000 i kilka nagród po 1.000 dolarów. Cała trasa biegu podzielona była na 85 etapów dziennych. Na zakończenie tych zawodów zorganizowano dla zwycięzców „mały Maraton“ w Nowo - Jorskim „Pałacu Sportu“. Dystans od startu do mety wynosił „tylko“ 32 kilometry. Ten bieg był wygrany bez konkurencji przez Estlandczyka Lossmana, zdobywcę drugiej nagrody w biegu maratońskim na Olimpjadzie w roku 1920. Bardzo dziwną może się wydać okoliczność, że wszyscy uczestnicy po ukończeniu tak długiego biegu znajdowali się w świetnej kondycji fizycznej. Wobec tego należy przypuszczać, że zastraszające wiadomości, rozsiewane przez prasę amerykańską podczas trwania biegu, miały na celu tylko najlepsze zareklamowanie gigantycznej imprezy, albo pochodziły od uczestników, którzy nie posiadali żadnych kwalifikacyj do wzięcia udziału w podobnych zawodach.

* * *

Wielu bokserów wykazuje w niezliczonej ilości walk zadziwiającą wprost wytrzymałość. Mogą oni bez widocznej szkody dla siebie znosić najbardziej ciężkie uderzenia. Ale odporność ta ma swój kres. Nagle po jakiemś nawet nie bardzo silnem uderzeniu bokser pada nieprzytomny na ziemę. Jest to oznaka załamania się jego odporności; teraz karjera jego jest skończona. Niezliczone przykłady z historji boksu dowodzą dobitnie, że nic tak nie szkodzi bokserowi, jak wielka ilość uderzeń, otrzymanych przezeń w ciągu jego karjery. Stare przysłowie angielskie: „boks jest to sztuka uderzać tak, żeby nie być uderzonym“, — okazuje się słuszne. Oto naprzykład charakterystyczny wypadek z tej dziedziny, który zaszedł rok temu. Angielski champion wagi średniej, Tommy Milligan, walczył z championem świata, Mickey Walkerem, stawiając mu dzielny opór. Sekundanci i sędziowe zapóźno przerwali walkę: od tego czasu Milligan już nie może odzyskać dawnej formy i „przyjść do siebie“ po zbyt licznych i zbyt ciężkich uderzeniach. W walce, która odbyła się niedawno, miał on za przeciwnika o wiele słabszego od siebie Franka Moody. Rok temu wynik podobnej walki nie ulegałby wcale wątpliwości. Ale teraz Milligan już się „załamał“. W rezultacie niespodziewana i zdumiewająca porażka: Frank Moody zwycięża w pierwszej rundzie knock—out'em!

* * *

Jack Dempsey występuje wraz ze swą żoną, „gwiazdą filmową“ Estelle Taylor, na scenie teatru w Nowym Jorku. Gra on rolę w sztuce „Wielka walka“, napisanej specjalnie dla niego przez znanego autora Davida Belasco. Sztuka cieszy się nadzwyczajnem powodzeniem; codziennie wszystkie miejsca są wyprzedane. Autor był o tyle ostrożny, że powierzył ex-championowi świata rolę, gdzie więcej należy mówić pięściami niż słowami. Wogóle podczas całego przedstawienia Dempsey mówi zaledwie parę słów, w rodzaju „dzień dobry“, „słusznie“ i „naturalnie!“ Ale zato zwycięża on swego przeciwnika, — amerykański „czarny charakter“, — w regularnej walce na pięści, odbywającej się na prawdziwym ringu. Dla niewdzięcznej roli pokonanego złodzieja zaangażowano kilku aktorów, albowiem każdy z nich po otrzymanej porażce musi odpocząć przynajmniej kilka dni, mimo że Dempsey stara się o ile możliwe oszczędzać swych partnerów. Za swoje występy Dempsey otrzymuje gażę w wysokości 10.000 dolarów miesięcznie.

* * *

Japonka Hitomi, która uchodzi za najlepszą uniwersalną lekkoatletkę świata spotkała się nagle z niebezpieczną konkurencją. Rosjanka Szamanowa pobiła większość rekordów Hitomi. W biegu na 100 mt. osiągnęła czas 12,2 sekundy, przy skoku wdal osiąga 5 m. 55 i przy skoku wzwyż ustanowiła nowy rekord — 1 m. 60 — który jest jednocześnie rekordem światowym. W rzutach nieco ustępuje Japonce, ale bardzo nieznacznie.

* * *

Na całej kuli ziemskiej sformowanie reprezentacyjnej drużyny footballowej nastręcza osobom za nie odpowiedzialnym wiele trudności. Nie jest to łatwem zadaniem — z wielu tysięcy graczy na każde miejsce w drużynie wybrać najbardziej odpowiedniego! Zwłaszcza we Francji dobór graczy do drużyn reprezentacyjnych wywołał ostatniemi czasy ostrą lecz uzasadnioną krytykę. Jeden francuski dziennikarz sportowy, litując się nad nieszczęśliwymi fachowcami, powołanymi do formowania drużyn footballowych, ułożył na ich pocieszenie ciekawą statystykę. Mianowicie, ustalił on, że, mając trzech graczy, możemy już ułożyć sześć różnych kombinacyj drużynowych; z czterech graczy nawet 24 kombinacje, podczas gdy zdolny sportowiec, mając do dyspozycji 6-iu graczy może wykombinować 720 różnych „jedenastek“. Z siedmiu graczy można sformować 5.040 drużyn, z dziesięciu nawet 3.762.800; a gdybyśmy rzeczywiście wybrali jedenastu graczy, którzy są faktycznie potrzebni dla sformowania drużyny footballowej, to mielibyśmy możność ułożyć z tej grupy 39.916.800 rozlicznych kombinacyj. Gdybyśmy przytem nie trafili na najwłaściwszą, nie wydałoby się to już grzechem śmiertelnym. Ale rzecz się staje wprost niesamowita, gdy włączymy do naszych rozważań jeszcze graczy zapasowych. Bo już z 13 ludzi możemy utworzyć 6 i pół miljardów kombinacyj drużynowych, a gdybyśmy postanowili wybierać w 15-tu sportowców, to mielibyśmy do czynienia z porządną liczbą: jeden biljon, 355 miljardów 647 miljonów i kilkaset tysięcy rozlicznych drużyn. Jednem słowem, wybór jest bogaty, ale z tego właśnie powodu zbyt kłopotliwy dla tych, którzy zań odpowiadają. W tym wypadku sprawdza się niemieckie przysłowie: „wer hat die Wahl, der hat die Qual“ — kto ma wybierać, ten ma się męczyć.

* * *

W Ameryce zbudowano na jeziorze Michigan specjalny wał, przeznaczony dla skoków narciarskich. Jeżeli tylko chodzi o jakąkolwiek imprezę narciarską, można być pewnym, że sprawa nie obejdzie się bez Norwegów; tak też było i w tym wypadku. Bogaty norwesko-amerykański klub „Norge“ wybudował wpobliżu Chicago wał wysokości 10 metrów, z którego można skakać do jeziora Michigan. Na tym potężnym wale ułożono coś w rodzaju wysokich szyn drewnianych które mają uchronić zawodników od przedwczesnego wykolejenia się; całą powierzchnię wału zaś pokryto gładko wypolerowanemi deskami, nasmarowanemi mydłem i tłuszczem by ślizganie się „poszło gładko“. Z tego wału narciarz „drogą powietrzną“ dostaje się na coś w rodzaju dużej odskoczni, i z niej dopiero skacze do wody. Tam czeka w pogotowiu kilka łodzi

ratunkowych, — niezbędny środek ostrożności, albowiem nie wszyscy mistrzowie sportów śnieżnych dają sobie radę z wodą w stanie płynnym. Na pierwszych zawodach dokonano całego szeregu pięknych skoków, które wyglądały coprawda nieco niezwykle, albowiem zawodnicy nie mieli na sobie nic, prócz „kombinacji", złożonej z narciarskich butów i krótkich spodenek. Połączenie, zaiste, oryginalne!

* * *

Po transafrykańskich triumfach lotniczych pań Bailey, Bentley i Heath, wszystkie ich rodaczki zapragnęły latać. Sport automobilowy już nie wystarcza. Szkoły pilotów są oblężone przez płeć piękną.

Trzeba jednak przyznać, że pilotki - kobiety okazują sporo wrodzonego talentu lotniczego; być może więc, że nowa moda nie będzie zjawiskiem przemijającem, lecz stworzy nowe pole dla pracy zawodowej.



Oryginalny sport.

Rysunek nasz przedstawia uroczą gwiazdę ekranu, Mary Philbin i jej partnera, zajętych oryginalnym sportem: wyścigami żółwi. Malutkie te zwierzątka ujawniają podczas zawodów niemały spryt i energję, z widocznym zamiarem obalenia utartych poglądów na przysłowiową „żółwią powolność".

* * *

Rozmaite są rekordy: na szybkość, wysokość, długość lotów, na ilość loopingów. W przygotowaniu znajduje się rekord latania „do góry nogami" (lub, jak kto woli, do góry kołami). Cóż, kiedy Kanada nie zdobyła dotychczas żadnego z nich! Otóż dowiadujemy się, że już Kanadyjczycy mogą spać spokojnie. Mają swój rekord lotniczy. I to nie bylejaki! Kanada może osiem razy opasać ziemię naokoło wstęgą z lotniczych zdjęć fotograficznych, które wykonała w ciągu ostatnich pięciu lat.

Jak wiadomo, Kanada posiada olbrzymie obszary, niezamieszkałe lub słabo zamieszkałe, dotychczas niezbadane i nie posiadające odpowiednich map. Otóż właśnie pomiary kartograficzne prowadzą Kanadyjczycy z powodzeniem zapomocą samolotów. Poza tem w Kanadzie 200 miljonów akrów lasów patroluje się z powietrza przez lotników. Lasy — to narodowe bogactwo Kanady, nic więc dziwnego, że sporządzenie odpowiednich planów robi się również sposobem lotniczym. W sezonie kontroluje się w ten sposób 30.000 mil kwadratowych.

* * *

A więc wszyscy są teraz sportowcami i uprawiają z zamiłowaniem najrozmaitsze sporty, od zawodów samolotowych począwszy i kończąc na... wyścigach żółwi. Istnieje bowiem i taki sport, czego dowodem umieszczona wyżej rycina. I kto wie, czy ten ostatni rodzaj wyścigów nie spopularyzuje się i nie rozkwitnie w naszej epoce, lubującej się w oryginalności?

J. Gąsiorowski.

BEN F. BAKER.

ZA DUŻO NIEDŹWIEDZI!

W artykule tym autor opisuje zabawne przygody w słynnym „raju niedźwiedzim" w Stanach Zjednoczonych, gdzie polowanie jest surowo wzbronione, i wskutek tego „niedźwiedzi jest tyle co jagód".

Na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych w pobliżu granicy meksykańskiej znajduje się puszcza Yosemite, mająca obszaru przeszło tysiąc mil kwadratowych, a więc większa od niejednego kraju europejskiego. Puszcza ta, pełna wszelakiej zwierzyny, a obfitująca zwłaszcza w czarne i brunatne niedźwiedzie, jest jednym z licznych parków narodowych państwa Yankesów i jako taki pełni podwójną służbę. Przedewszystkiem zabezpiecza przyszłym pokoleniom i daje obecnemu idealne miejsce wypoczynku wśród pierwotnej prawie przyrody, a powtóre jest jakby ogromnym rezerwoarem rozlicznych przedstawicieli świata zwierzęcego, który w obrębie tego „parku" cieszy się nietykalnością, prawnie zagwarantowaną. Jest to więc olbrzymia republika zwierzęca z własną konstytucją, przyczem niedźwiedzie stanowią tu panującą warstwę szlachecką. Jednakże ci obywatele cieszą się opieką prawa tylko w obrębie tego terytorjum. Poza niem poluje się na nie bez pardonu, i niejeden niedźwiedź zawdzięczał lekkomyślnemu opuszczeniu swej bliższej ojczyzny utratę życia.

Dla utrzymania w porządku licznych dróg, których puszcza liczy kilkaset mil (aż pod góry Sierra) oraz dla udzielania informacyj turystom utrzymywane są tam drużyny robocze, obozujące w namiotach przeważnie na pograniczu puszczy. Do jednej z takich drużyn zapisałem się w charakterze kucharza. Sześć lat spędziłem w tym „raju niedźwiedzim". Istotnie, puszcza Yosemite jest dla licznych misiów prawdziwą ziemią obiecaną. Wzdłuż dróg, w namiotach turystów, pełno zapasów różnego rodzaju, a żadne przepisy konstytucji państwa niedźwiedziego nie bronią im zajmować się rekwizycją smakołyków, o ile im one do gustu przypadną.

Temi niezgrabnemi na pozór (a jednak dość zręcznemi w razie potrzeby) czworonogami interesował się zwłaszcza przewodnik naszego oddziału, opowiadając o nich najrozmaitsze historje. Podług niego, za każdym razem, kiedy się ustawiało namiot dla robotników oddziału na terenie „parku", niedźwiedzie nie omieszkiwały wtargnąć do namiotu. To też należało oczekiwać, że zaraz pierwszej nocy, kiedy wszyscy błogo zasną, cała banda niedźwiedzi niechybnie wkradnie się do namiotu, wypróżni skrzynię z mięsem, rozpruje jeden lub dwa worki z mąką, fasolą lub cukrem i rozsypie zawartość, gdzie się da, poprostu z psoty. Dopiero, kiedy mniej zaspany jegomość przebudzi się i narobi krzyku, niedźwiedzie pójdą sobie precz. Ale niech tylko alarm ustanie i każdy znów urżnie śpika,—misie powrócą, aby zniszczyć lub otworzyć to, o czem zapomniały za pierwszym razem. Jeszcze raz odpędzeni, skryją się w pobliskich gąszczach, a przekonawszy się, że wszyscy już chrapią zgodnym chórem, pospieszą do namiotu, by znowu tam napsocić. Tak będzie do świtu, kiedy niedźwiedzie powrócą do swych barłogów, aby się pokrzepić snem i nabrać sił do następnej nocnej wyprawy. Podług naszego przodownika program ten będzie się powtarzać noc w noc w ciągu całego lata. Nikt nie będzie mógł nawet zamarzyć o drzemce.

— Stada niedźwiedzi są tu nieprzeliczone, — mawiał on,—wierzcie mi, chłopcy, że czynią oni życie niemożliwem wszystkim, zwłaszcza kucharzowi!

Tym alarmującym słowom naszego przodownika przysłuchiwałem się z uśmiechem. Przyznawałem w duchu, że dobrze grał wybraną przez siebie rolę, ale z tego nie wynikało, abym się dał nabrać. Jeszcze jako chłopiec osiemnastoletni włóczyłem się nad

Jukonem w Alasce i miałem tam sposobność poznać zarówno szare jak i brunatne niedźwiedzie, jako zwierzęta krwiożercze, gotowe walczyć do ostatniej kropli krwi; nigdy jednak nie słyszałem, aby wkradały się do namiotów, zwłaszcza wówczas, kiedy tam byli ludzie. Tego rodzaju opowiadania uważałem poprostu za baje. Niedźwiedzie, pozostawione sobie, unikają człowieka jak zarazy. Nawet szare niedźwiedzie nie chodziły po drogach, na których widniały ślady ludzkie.

Pierwsze trzy noce na naszej placówce przeszły w zupełnym spokoju. Wszyscy spaliśmy słodko i smacznie, ukołysani szumem rzeczki „sezonowej", płynącej nieopodal. Codziennie zrana wszyscy nasi osadnicy oblegali mój namiot kuchenny i walczyli o ciepłe racuchy. Wszyscy z wyjątkiem przodownika, który wstydliwie się skrywał w ogonku kolejki, mając nos spuszczony na kwintę. Boleśnie podrażniony, że w ciągu trzech nocy ani jeden niedźwiedź się jeszcze nie pokazał, wyglądał ze zmartwienia wprost na straszydło. Pomimo to miał jeszcze cywilną odwagę od czasu do czasu zwracać się do mnie z adnotacją:

— Proszę nie zapominać o niedźwiedziach. Taka jest moja rada!

— No tak... — odpowiadałem ironicznie.

Jego ostrzeżenia zaczynały mnie denerwować. Pomimo to co noc związywałem starannie końce płócien namiotu, odsuwałem zapasy żywnościowe od ścian, swoje łoże urządziłem pod stołem, kładłem latarkę elektryczną pod poduszką i dopiero wówczas udawałem się na spoczynek.

Na brak snu narzekać nie mogłem. Czwartej jednakże nocy obudziłem się nagle. Odrazu wyczułem, że coś obcego znajduje się w mojem nabliższem sąsiedztwie. Wytężyłem słuch. Oprócz szumu potoku, żadnego dźwięku słychać nie było. Z naszej osady najmniejszy szept nie dochodził, widocznie każdy leżał już w łóżku i spał. A jednak coś huknęło w mym namiocie i zamarło!

Jednocześnie poczułem jakiś silny zwierzęcy odór. Ostrożnie wydostałem moją lampę i nacisnąłem guzik. I wyobraźcie sobie, com ujrzał? Samego Misia! I w jakiej pozycji? Powiedziałbym w dość zabawnej gdyby tu nie szło o moją skórę.

Otóż, ponieważ łóżko moje stało pod stołem, a przednia część korpusu niedźwiedzia również się tam znalazła, więc miałem przyjemność ujrzeć nad sobą ogromne cielsko, które zrobiło na mnie wrażenie całego gmachu. Kiedy światło uderzyło go w oczy, zamruczał, poruszył się i jednem pchnięciem przewrócił stół wraz ze wszystkiemi naczyniami, talerzami, półmiskami i szklankami, które stały na nim. Skorzystałem z zamieszania i, owinąwszy się kołdrą, wybiegłem za namiot. Ale widocznie Miś miał już dość tej zabawy i wkrótce też się znalazł pod gołem niebem.

Po krótkiej chwili wróciłem do namiotu. Byłem całkiem zziębnięty. Albowiem cienka koszula nie jest zupełnie odpowiednim strojem do spacerowania nocną porą wśród gór Sierra. Nadomiar złego pokłułem sobie bose nogi o kolce i ostre szpilki sosen.

Nazajutrz byłem przedmiotem drwin i docinków ze strony mych towarzyszów, najwięcej mnie jednak wściekała ustawicznie powtarzająca się uwaga naszego przodownika:

— A niedźwiedzi się pilnować! To jest moja rada.

Tego samego dnia drużyna nasza ruszyła w drogę wzdłuż potoku, i zatrzymaliśmy się dopiero po przejściu 8 mil pod wzgórzami Rancheria. Ponieważ zamierzaliśmy tam popasać zaledwie 3 dni, więc nie ustawiliśmy namiotów. I tu się rozpoczęła zabawa!

Całą noc wokoło nas ryczały niedźwiedzie. Wtem ktoś się obudził i zauważył Misia może w odległości stopy od siebie. Podniósł oczywiście wielki alarm. Wszyscy przebudzili się momentalnie i w stronę niedźwiedzia poleciał grad kamieni, skarpetek, kamaszy i butelek. Czarne widmo znikło momentalnie w pobliskich krzakach. Zawiadowca naszej śpiżarni zapalił lampkę, związał wszystkie artykuły spożywcze w jeden węzeł i zawiesił u swego łóżka. Worek zaś z mięsem zawiesił na pobliskiem drzewie jak można było najwyżej. Rzuciwszy następnie kilka dość silnych wyrażeń pod adresem wolnego obywatela puszczy, padł na posłanie, a za jego przykładem ze wszystkich gardzieli i nosów wydobywać się zaczęło chrapanie i gwizdanie. Ale już wkrótce rozległ się czyjś rozpaczliwy krzyk:

— Ratunku, bestja nadeptała mi na brzuch!



Talerze i półmiski poleciały na podłogę...

Polegał on na tem, że co noc zawieszaliśmy każdy funt naszych zapasów (po uprzedniem opakowaniu w worek) na najbliższych drzewach. Każdy worek przymocowywaliśmy do niewielkiej giętkiej gałązki, która mogła wytrzymać tylko ten ciężar, ale nie większy.

Odtąd niedźwiedzie miały pecha. Próbowały wprawdzie wdrapywać się na drzewa, ale Miś nie jest znów tak dalece w ciemię bity, aby zawisnąć na gałęzi, która go nie może utrzymać. Mogliśmy przeto spać spokojnie, gdyż ten nowy sport niedźwiedzi, polegający na włażeniu i złażeniu z drzew, żadnej szkody czynić nam nie mógł.

Zdarzało się, że czasem odwiedzały nas niedźwiedzie w namiotach. Ja również nieraz dzieliłem swą siedzibę z brunatnym albo szarym jegomościem, ale trwało to zwykle krótką chwilę, przyczem żadnemu z nich nie udało się jednak pobić rekordu owego brutala, który tak mi owej pamiętnej nocy napsocił.

Zresztą nie uważałem za potrzebne denerwować mych gości, którzy zamiast kart wizytowych pozostawiali ślady swych łap na ziemi. Przekonałem się, że w leżącej pozycji byłem najbezpieczniejszy, gdyż czarny niedźwiedź północno-amerykański prawie nigdy nie atakuje ludzi, o ile nie jest przez nich osaczony lub rozdrażniony. Niewątpliwie jest to dzikie zwierzę i niech mu błyśnie najsłabsza idea, że mu się chce zrobić krzywdę, to wówczas człowiek może się niezwłocznie pożegnać ze swą głową. Mówić przeto o niedźwiedziach puszczy Yosemite, jako o oswojonych, byłoby nieco za wcześnie.

Znów całe stosy pocisków, krzyki, nawoływania, aż wreszcie pozbyto się nieproszonego gościa. Postanowiono nie kłaść się spać. Zresztą i bez tego postanowienia nie byłoby amatorów snu w takich warunkach. Mogę bez przesady powiedzieć, że w ciągu tych trzech dni spaliśmy zaledwie dwie godziny ogółem.

Nie lepiej, jeśli nie gorzej, przepędziliśmy pięć nocy w sąsiedniem obozowisku. Tu jednak już spaliśmy mimo wszystko. Zresztą ludzie, żyjący z pracy rąk własnych, śpią pomimo wszelkich przeszkód. Ale taki sen, kiedy jedno oko zawsze czuwać musi, nie daje należytego odpoczynku. To też tak długo kombinowałem, aż wreszcie wymyśliłem bajeczny system, któryby nam pozwolił spokojnie zasnąć.

Nie mogę powstrzymać się w tem miejscu od podkreślenia ciekawej działalności „pedagogicznej“ Billa, jednego z naszych towarzyszy. Chciał on widocznie zastosować system Daltona do wychowania nie-

dźwiedzi, którym pozostawił we wszystkiem wolną rękę, i robił nam jeszcze wymówki, kiedyśmy się chcieli czasami barykadować przed nieproszonymi gośćmi. Nadto częstował swych pupilów resztkami mięsiwa, tłuszczów, słodyczy. Ale co najbardziej mnie zastanawiało, odważał się karmić je z ręki. Ostrzegałem go, ale on się śmiał z mojej ostrożności:

— Czego mam się ich obawiać? Wszak to są moi przyjaciele!

Co do mnie, to wyznaję ze skruchą, że nie żywiłem w mem sercu tak silnej braterskiej miłości do tych psotników.

Wprost przeciwnie! Nieraz opracowywałem najbardziej niszczycielskie wobec nich zamiary. Na przeszkodzie stały jednak przepisy surowo zabraniające polowania. Cóż więc czynić? A tak się chciało pukać! Wkrótce jednak krzyknąłem: e u r e k a!

Zacząłem rzeczywiście pukać w niedźwiedzie, ale... z kodaku. Zrobiłem kilkanaście bardzo ciekawych zdjęć. Ale najbardziej emocjonujący moment, związany z pierwszą wizytą Misia w moim namiocie, musiałem oczywiście pozostawić twórczej wyobraźni kolegi malarza.

DAWID SZTERN.

GLOBTROTTER.

Dziś samochód, jutro kolej, okręt,
Lub samolot gna w przestrzeni lazur.
Ziemie, wyspy, morza słone, mokre...
Cały świat mi w twarz wieje odrazu.

Prawą nogą — na jednej półkuli,
Lewą — drugą właśnie depcę cudnie,
Świat się cały do stóp moich kuli
Wschód i zachód, północ i południe.

Szybciej! Rankiem podziwiam Niagarę,
Na Everest wspinam się wysoko.
Zaś wieczorem przez Chiny, Saharę
W dal wędruję, ot sam nie wiem dokąd.

...A z Piramid lecę do Tobolska
Na Kamczatkę — Paryż — i Kalkutę,
Do New Yorku jadę gdzie jest Polska,
Stąd przez Rosję do Włoch znam marszrutę.

Hej, i to nie zaspokoi mych snów już —
Jam szalony wędrowiec, szalony!
Bo cóż z tego że widzę Wezuwjusz
Karpaty i zamki Werony?

Bo cóż z tego, że toczy się wagon
Na oddali nieobjętych linjach?
Wszystko jedno czy jestem w Chicago,
Czy w Londynie, Bagdadzie, lub Indjach.

To jest świat. Niech kto wierzy, nie wierzy,
Ja dziś gwiezdnem pragnę chodzić błotem,
Wszechświat cały zmierzyć i przemierzyć,
Gdzieś na Marsie znaleźć dobry hotel.

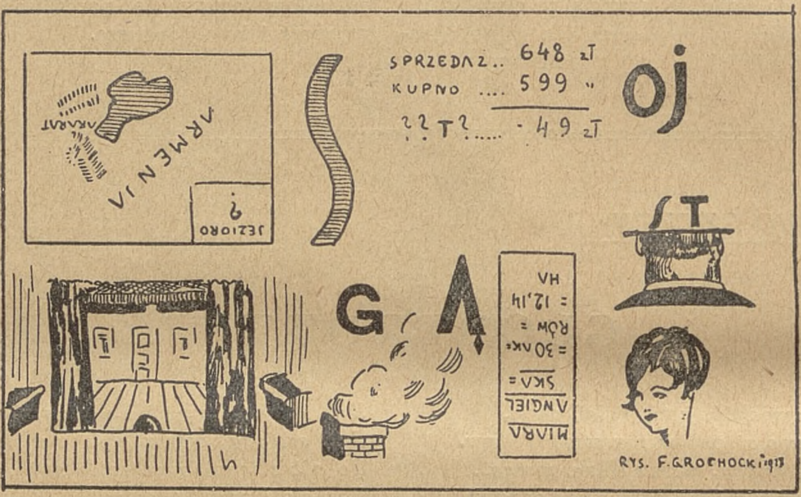
Wciąż o takich ja marzę mozołach!
Ha! Tymczasem przez równik i biegun
Zdepcę Świat raz tysiączny dokoła!
Niech się trochę choć zdyszę w tym biegu.

Samoloty, koleje, rozterka,
Ziemię — piłkę do persi swych tulę.
Palcem znaczę: Europa, Ameryka...
Patrz, obwodzę obydwie półkule!



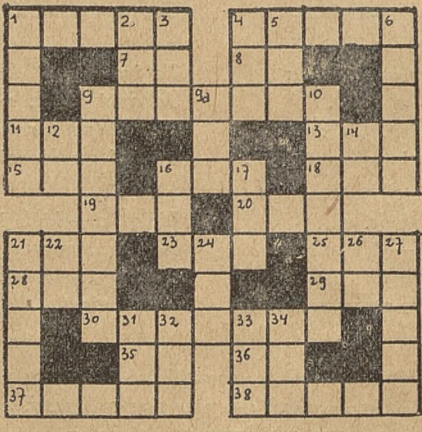
Rebus.

Uł. Fr. GROCHOCKI (Łomża) [3]



Krzyżówka.

Uł. „Dewir" (Bliżyn).



POZIOME:

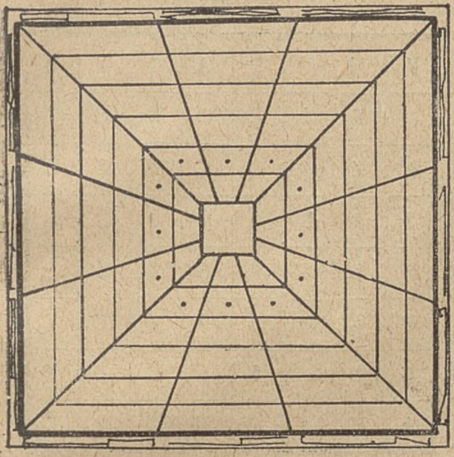
1) Trzęsawisko (w jęz. łac.), 4. Miasto we Flandrji, 7. Litera grecka. 8. Jenerał amerykański z wojny secesyjnej, 9. Japoński malarz z IX w. 11. Imię żeńskie, 13. Rzeka w Kurlandji. 15. Meta. 16. Łańcuch gór na Krecie, 18. Nazwa tonu, 19. Imię znanego aktora filmowego, 20. Ptak australijski (wspak), 21. Dawna miara szwedzka, 23. Wysepka na morzu Egejskim, 25. Część twarzy, 28. Powieść Kiplinga (wsp.), 29. Fizyk niemiecki zm. w r. 1854. 30. Biskup warmiński z XV w. 35. Litera fonetycznie, 36. Dwie kolejne spółgłoski, 37. Historyk włoski z XIX w. 38. Ciastko suche z krajanych orzechów

PIONOWE:

1. Błazen (in.), 2. Dopływ Oki, 3 Bożek księżyca u Chaldejczyków, 4. Chiński bożek. 5. Stara cesarska dynastja chińska, 6. Skrzynka stalowa w skarbcu, 9. Historyk polski z XIX w 10. Syn Nioby, 12. Litera fonetyczne, 14. Dwie samoogłoski, 16. Syn Appollina i Kreuzy, 17. Zły Duch u Indjan brazylijskich, 21. Małżonka króla Latynusa, 22. Chińska miara. 24. Rzeka w Wirtembergji, 26. Wykrzyknik, 27. Elegant, 31, Rządca mennicy za Kazimierza Jagielończyka, 32. Jmię arabskie, 33. Historyk arabski z XIV w. 34. Dawna moneta francuska. 9a. Bóg. [4]

Mozajka.

Nad. SYLW. CZYŃKI (Warszawa)



ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Lamówka, 2) Powłoka geologiczna. 3) Rodzaj pióra na kapeluszach damskich. 4) Pasożyt, 5) Przyrząd do oznaczania ilości tłuszczu w mleku, 6) Kredka kolorowa, 7) Odbitka z kliszy fotograficznej. 8) Gromada małych gwiazd. 9) Boczna część domu. 10) Pęd, odrostek boczny rośliny, 11) Nazwa związków organicznych, tworzących się w niektórych owocach, 12) Kwiat).

Znaleźć 12 wyrazów o wyżej podanem znaczeniu, 7-mioliterowych, o wspólnej literze początkowej. Kratki oznaczone kropkami dadzą rozwiązanie. [3]

Łamigłówka.

Ułożył AL-PE-PA. (Paryż)

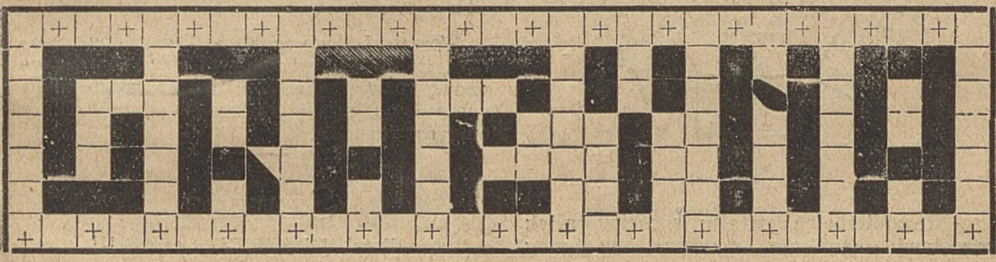


Członek akademji nieuk. laureat nagrody Hopla, prof. Niedorajdzki zatrzymuje się pewnego dnia przed sklepem antykwariusza i ze zdumieniem spostrzega na wystawie szereg, a raczej komplet, ruchomych znaków. Bardzo zaintrygowany łamie sobie głowę nad tem, do czego mogą służyć te litery czy cyfry. Ale napróżno, ani jedna szczęśliwa myśl nie zabłysła w genjalnym umyśle profesora.

Może, który z pośród Was, mili czytelnicy, zechce mu podać swą pomocną myśl, za którą gotów jest p. profesor ofiarować 3 punkty nagrody? Przecież zapewne jesteście bardziej spostrzegawczy, niż stary uczony, który pogrążony w głębokich rozmyślaniach, nie zwracał nigdy uwagi na rzeczy najbardziej powszednie.

Zagadka literacka.

ułożył JAN SCHNEE (Rzeszów)



Znaczenie wyrazów:

1) Autor „Dziecka Salonu“, 2) Utwór Dygasińskiego 3) Postać z „Makbeta“ Szekspira, 4) Połowa utworu Schillera, 5) Utwór Słowackiego, 6) Inicjały (im. i nazw.) komedjopisarza polskiego, 7) Pseudonim Maciejowskiego, 8) Inicjały (im. i nazw.) autora „księcia Solimana“, 9) Sonet Mickiewicza, 10) Inicjały poetki polskiej, 11) Utwór Ibsena, 12) Inicjały bajkopisarza polskiego, 13) Znany pisarz rosyjski, 14) Utwór Corneille'a, 15) Utwór Rodziewiczównej, 16) Filozof niemiecki na przełonie XVIII i XIX stulecia, 17. Historyk Polski, bohater dramatu Wyspiańskiego, 18) Zmarły niedawno słynny dramaturg, 19) Utwór Erenburga (wspak), 20) Współczesny powieściopisarz niemiecki, 21. Utwór Erenburga, 22) Inicjały autora„ Chłopczycy“, 23) Powieść Prusa, 24) Inicjały autora „13 fajek“, 25. Tragedja Szekspira, 26) Inicjały autora „Przygód Scherlocka Holmesa, 27) Postać z „Popiołów“ Żeromskiego, 28) Inicjały autora „Irydjona“, 29) Utwór Byrona. [3]

Konikówka królewska.

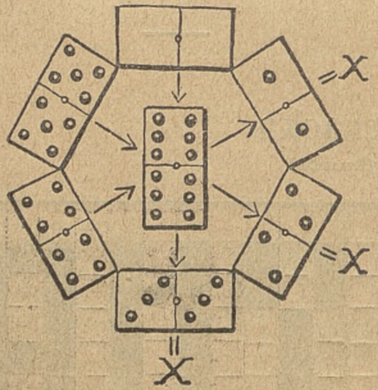
Nad. WŁ. SZTELMAN (Radom)

	PRE KÓW	NU NI	
NU TEL	RÓW JE	BUJ LA	RA DLA
CIE CIE	ME MO	WYCH CZY	TO GO
	WER PRZY	I JA	

Po dwóch kolejnych posunięciach konika następuje jedno proste posunięcie króla szachowego. Rozpoczynamy od sylab dolnych. Jeżeli kolejne posunięcia oznaczymy kolejnemi liczbami (1, 2. 3 i t. d.) wtedy sumy w szeregach poziomych i pionowych będą równe 100. [2]

Układanka dominowa.

Ułożył ALMAN



Nie zmieniając kształtu sześciokąta tak przestawić kamienie domina, aby sumy oczek na kostkach przeciwległych wraz ze środkową były równe sobie. [1]

Szarada.

Ułożył J. SCHNEE (Rzeszów)

Pierwsze - trzecie są w piwnicy
Lub na strychu kamienicy
Na podłodze w izbach często
Drugie - trzecie leżą gęsto
Zegar sobie trzecie - czwarte
Całość powiem wam otwarcie
Jest to przedmiot szkolny znany
W całym świecie nauczany. [1]

Zadanie konikowe.

Nad. N. CYNAMON (Płock) [2]

Y	M	M	R	A	O	I	S
S	E	J	Ł	O	W	C	D
A	Z	O	O	C	Z	Z	E
J	I	I	D	T	P	Z	I
R	L	C	Z	C	J	Ż	E
P	A	W	A	O	Y	E	C
S	P	N	I	Y	Y	C	Y
I	E	Z	J	H	M	S	L

Arytmograf.

Ułożył WŁ. SZTELMAN (Radom) [3]

Znaczenie wyrazów:

1. Biegła w czemś. 2. Magicy. 3. Miasto w płd. Rosji. 4. Nazwisko z tragedji Szekspira. 5. Przysmaki. 6. Kajdany. 7. Rzeka w Polsce. 8. Współcz. pisarz polski. 9. Rodzaj kary. 10. Pułapy, stropy (in.). 11 Rodzaj futra. 12. Minerał z rz. krzemianów.

X	15	3	19	18	21	22	16	13		
X	21	9	18	6	7	21	13	10	14	13
X	10	8	9	3	19	6	17	6	15	
X	9	17	20	15	10	19	13			
X	9	4	6	2	13	10				
X	4	6	8	22						
X	20	16	9	14	10	2				
X	15	10	2	12	6	8	3	4	13	
X	13	11	21	13	10	16	13	10		
X	4	15	10	17	13	10	16	15	9	
X	9	18	9	4	20	5	22			
X	7	20	15	9	18					

Zamiast liczb wstawić litery, aby utworzyć 12 wyrazów, których litery początkowe dadzą rozwiązanie. Ze znalezionych słów wybrać po jednej sylabie i ułożyć dalszy ciąg rozwiązania.

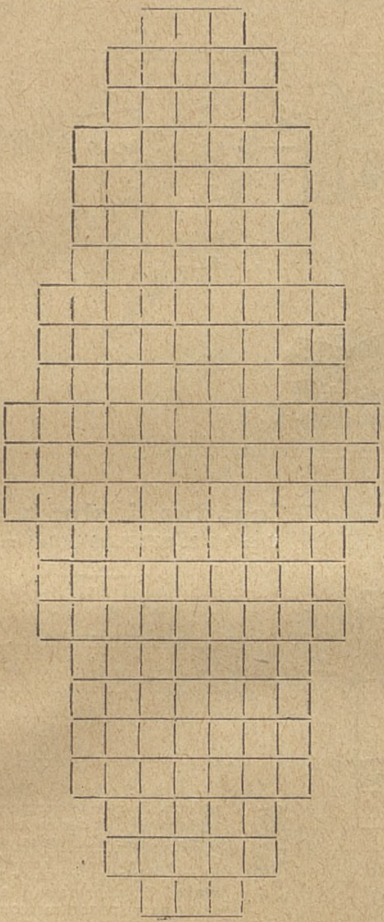
Szarada.

Ułożył JAN SCHNEE (Rzeszów) [1]

Druga - trzecia - czwarta w górach
Często się znajduje
Tam się trzecia - czwarta przyda
Bo drogi brakuje
Druga - pierwsza postać z Starej
Baśni Kraszewskiego
Trzecia - pierwsza ujście Dniestru
Do morza Czarnego
Całość instrument muzyczny
W całym świecie znany
I dla tonów swych czystości
Naogół lubiany.

Logogryf.

Ułożył FR. GROCHOCKI (Łomża)



1) Miejscowość kuracyjna w Niemczech, 2) Świątynia mahom. w Mekce, 3) Kraj w Azji, 4) Autor „Emilji Galotti“, 5) Owoc południowy, 6) Głośnik, 7) Szczyt w Tatrach, 8) T agik francuski (1606-84), 9) Humorysta angielski, 10) Miłośnik książek, 11) Ruda miedziana, 12) Historyk polski XVIII w. 13) Adhezja, 14) Jarzyna (1 prz. l. m.), 15) Najlepszy sportowiec Polski, 16) Malarz polski, włoskiego poch. (1837-93), 17) Pokój, gdzie się je, 18) Autor „Anny Kareniny“, 19) Dopływ Dnieplu, 20) Łódź wenecka, 21) Pierwiastek — metal kruchy, 22) Rodzaj orzecha południowego, 23) Ryba. [2]

Kryptogram.

Ułożył JAN SCHNEE (Rzeszów)

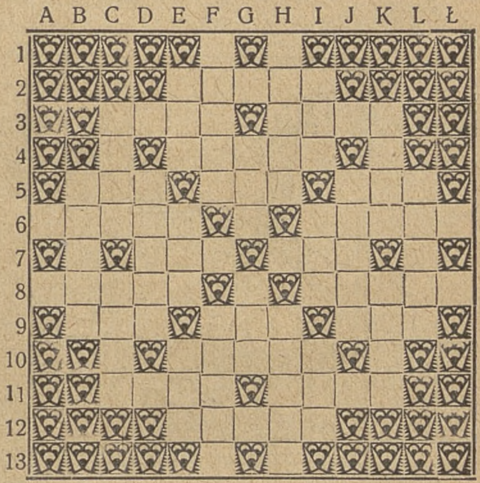
-o | --u--a--y | - | --a--y | - | -ie-ie |
-e | -e--u- | -o-e-o | -o--a-u |
--o | -a | -y-ia | --o- | -a- | -y- | - | -ie-ie |
-e- | -o | --ie--i | -ie | --a-i | o--a-u |

Na miejsce kresek wstawić spółgłoski i odczytać zakończenie poematu poety polskiego.

Co to za utwór i poeta? [1]

Krzyżówka.

Nad. N. CYNAMON (Płock)

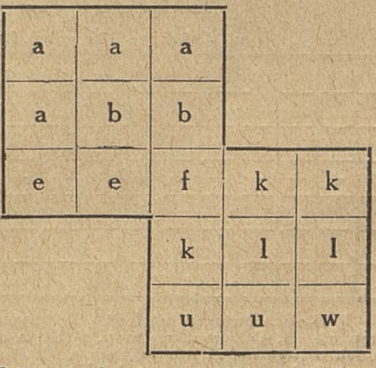


WYRAZY PIONOWE: B5. Aparat lotniczy. C3. Zwierzę bezkręgowe. C8. Opad atmosferyczny. D5. Wyżyna w Afryce. E2. Strona. E6. Pospolite nazwisko żydowskie. E10. Rodzaj prosa. F1 Dawna machina oblężnicza. F9. Uroda (s=a). G4. Przeciąg czasu. G8. Okres czasu. H1. Nauka o moralności (wspak). H9. Kochanek. I2. Imię żeńskie. I6. Wąż (wspak). I10. Papuga J5. Góry w Afryce. K3. Święta księga żydowska. K8. Miasto w Afryce (wspak). L5. Artysta.

WYRAZY POZIOME. 2E. Rodzaj łodzi. 3C. Język (6=o). 3H. Przysłówek (wspak). 4E. Mapa. 5B. Rodzaj głosu. 5F. Postać biblijna. 5J. Ołtarz w języku obcym. 6A. Diabeł. 6I. Napady. 7D. Rzeka w Rosji. 7H. Cząsteczka gramowa. 8A Święta księga mahometan. 8I. Styl architektoniczny. 9B. Przeczenie w jęz. obc. 9F Odłam lodowy. 9J. Pan w obc. języku. 10E. Podwoje. 11C. Kość w języku obcym. 11H. Napoj wyskokowy. 12F. Skaleczona. [2]

Podwójny kwadrat magiczny.

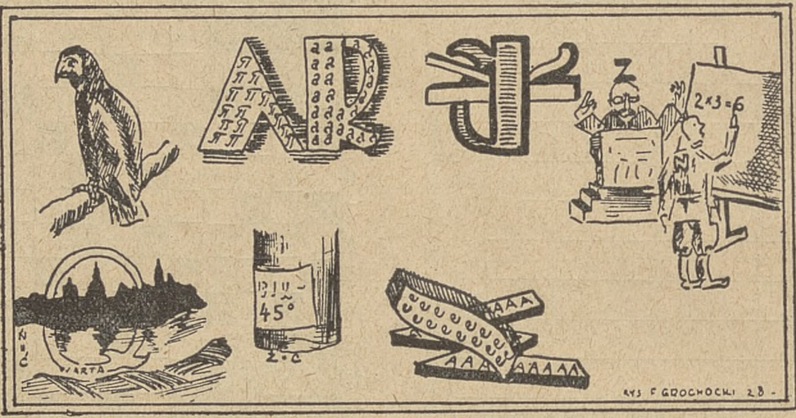
Nad. WŁ. SZTELMAN (Radom)



Litery tak przestawić, aby otrzymać pięć wyrazów czytanych jak poziomo, tak i pionowo. [1]

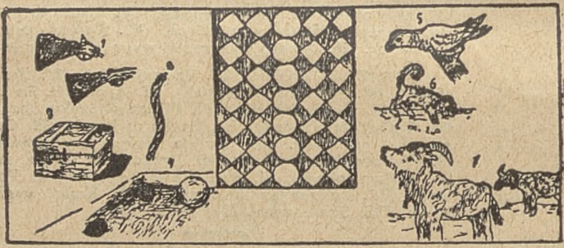
Rebus.

Uł. FR. GROCHOCKI (Łomża). [3]



Logogryf obrazkowy.

Nad. M. TYRAKOWSKI (Skoków)



Wstawić w kratki znaczenie obrazków a rząd środkowy, oznaczony kółkami, da rozwiązanie. [1]

Logogryf.

uł. J. Schnee (Rz‑szów). [2]

+	+	+	+	+	+	+	+	+	+	+	+	+	+

1) Miejsce ćwiczeń artylerji, 2) Poważna dama, 3) Odstępca (n.), 4) Zakon krzyżowy, 5) Szata duchowna, 6) Kierunek p litycny, 7) Ryc rz błędny, 8) Niepogoda, 9) Podarunek (in.), 10) Przymiot (in.), 11) Drzewo smocze, 12) Gra na wolnem powietrzu, 13) Flotylla.

Zagadka historyczna.

Ułożył WŁ. SZTELMAN (Radom) [1]

		X	8	·	·	10	1	X		
		9	5	X	·	X	1	·		
		X	6	·	6	·	8	X		
X	·	7	6	9	·	·	6	·	4	X
X	·	·	·	6	5	9	2	4	8	X
		X	·	9	3	6	4	X		
		X	2	·	5	8	·	X		
		X	·	·	6	10	7	X		

Zn czenie wyraz w:

1, 2 i 5 (wspak) Historycy polscy, 3. Syn bohatera wojny trojań kiej, 4. Dema og z Palais-Royal. 6. Rzeka słynna z wojny r. 1813, 7 Miasto zna e z traktatu polsko-tureckiego, 8. wódz armji angielskiej na wschodnim froncie.

Zamiast liczb, krzyżyków i kropek wstawić litery. W miejscu krzyżyków powstanie rozwiązanie.

Logogryf.

Nad. L. JASIŃSKI [1]

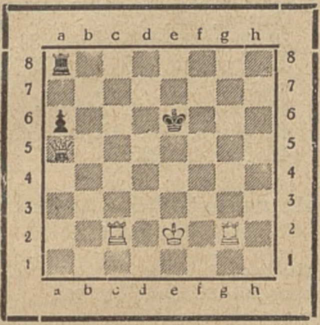
Znacz nie wyrazów: 1) Minerał, 2) Zobowiązanie piśmienne, 3) Port w Nowej Zelandji. 4) Gwiazda mglista. 5) Wwóz. 6) Miasto we Włoszech. 7) Rzeka złotodajna. 8) Jedna z asteroid. 9) Sprawozdanie. 10) Wulkan w Anda h.

Należy ustawić 10 wyrazów sześcioliterowy h o po anem znaczeniu, potem zaś odczytać pierwszy i ostatni rząd z góry nadół.

SZACHY

Zadanie № 27.

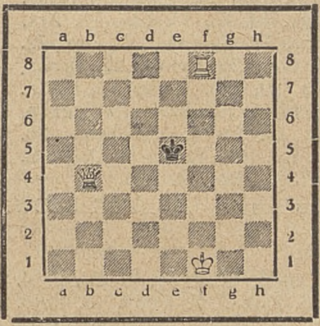
S. Hertzsprung.



Mat w 3 posunięciach.

Zadanie № 28

B. Mach.



Mat w 4 posunięciach.

KONKURS. Za prawidłowe i wyczerpujące rozwiązanie powyższych dwóch zadań redakcja wyznacza nagrodę „Zbiór partji międzynarodowego kongresu szachowego w roku 1926“. Przy większej ilości równowartościowych rozwiązań nagroda zostanie wyznaczona przez losowanie.

Partja francuska.

E. Bogolubow — R. Reti.
Turniej we Wrocławiu, 1925 r.

1. e2—e4 e7—e6
2. d2—d4 d7—d5
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Gc1—g5 Gf8—b4
5. e4—e5 h7—h6
6. Gg5—d2 Gb4 c3
7. b2 c3 Sf6—e4
8. Hd1—g4 g7—g6

Inne stosowane tu niekiedy posunięcie 8... Ke8—f8 jest gorsze

9. Gf1—d3 Se4 d2
10. Ke1 d2 c7—c5

Po wymianie hetmanow 11... Hd8—g5+ 12. Hg4 g5, h6 g5 białe, grając 13. Gd3—e2! otrzymałyby lepszą końcówkę.

11. h2—h4! h6—h5
12. Hg4—f4 c5—c4?

Czarne dobrowolnie rezygnują z nacisku na słaby punkt c3. Jest to błąd strategiczny, który mści się później.

13. Gd3—e2 Sb8—c6

To należałoby zrobić już w poprzedniem posunięciu.

14. Sg1—f3 Hd8—e7
15. Sf3—g5 b7—b5
16. a2—a3! a7—a5
17. g2—g4! Wa8—a7

Czarne są zmuszone do takich „krzywych“ obronnych posunięć.

18. g4 : h5 g6 : h5
19. Wh1—h3! b5—b4
20. Wh3—f3

Białe koncentrują wszystkie figury na skrzydle króla, podczas gdy figury czarnych są beznadziejnie uwięzione na skrzydle hetmana.

20. ... b4 : c3+

Przedśmiertny szach!

21. Wf3 : c3 Wa7—b7
22. Wa1—g1 Sc6—a7
23. Wc3—g3 Gc8—d7

Czarne dążą do najszybszego „rozwinięcia“ swoich figur, ale niestety...

24. Ge2 : h5!! c4—c3+

Znów przedśmiertny szach. Zresztą czarne nie mają nic lepszego do wyboru, bo na 24... Wh8 h5 nastąpiłoby 25. Sg5 : f7 z groźbą mata na g8.

25. Kd2—e3!

Reti się poddał Katastrofa słabego punktu f7, a z nim razem całej partji, jest nieunikniona. Bogolubow świetnie przeprowadził śmiały atak.

Rozwiązania z Nr. 8.



Logogryf o podstawie krzyżówkowej.

Poziomo: 1. Aje (r), 2. Mur, 3. Ala, 4. Premjować, 5. Konkurent, 6. Parasolka, 7. Aza, 8. Osa, 9. Tło, 10. Jod, 11. Iwa, 12, Krasa, 13. Kacyk, 14. K., 15. Ski, 16. Ars, 18. Tenor, 19. Sa (as , 21. Iza, 22. Typ, 24. Acr, 26. Rebro, 27. Praha, 28. Kapa, 29. Rys, 30. Ra, 31. Klika.

Pionowo: 13. Kok, 15 Szczep, 16. Ara, 17. Szach, 19 Saba, 20. Gra, 21. Ira, 22. Tor, 23. P. P. S. 25. Aar, 31. Kita, 32. Kra,

Rozwiązanie: JULJUSZ SŁOWACKI.

Zygzak.

1. Omen, 2. Próg, 3 Ajer, 4. Kopa, 5. Orka, 6. Koza, 7. Ryby, 8. Reja, 9. Rasa, 10. Bicz, 11. Wino, 12 Kret, 13. Olaf.

Rozwiązanie: „MÓJ PRZYJACIEL".

Kwadrat magiczny.

E	P	O	K	A
P	Y	R	O	S
O	R	A	W	A
K	O	W	A	L
A	S	A	L	K

Figliki rebusowe.

1. Warszawianka, 2. Przedświt, 3. Lelewel, 4. Staszyc.

Rebus.

CZEŚĆ REKORDOWEJ ODWADZE ZDOBYWCOM ATLANTYKU.

Zagadka łacińska: m

Zadanie numizmatyczne.

1. Fenig, 2. Funt, 3 Toman, 4. Lit, 5. Złoty, 6. Drachma, 7. Tael, 8. Łat, 9. Yen, 10. Cekin, 11. Frank.

Rozwiązanie: NUMIZMATYKA.

Logogryf.

N, Noc, **B**yrd, Tac**i**tus, Ba**l**on, M**e**bel, **T**apir, **M**oment, S**u**kces, **N**, Od**r**a, Ala**s**ka, **A**rena, Ody**n**iec.

NOBILE — AMUNDSEN.

Krzyżówka.

Wyrazy poziome: 1. Agape, 2. Parasol, 3. Ogar (rago), 4. Cisy, 5. Karafka, 6. Dracena, 7. Maraton, 8. Adam Asnyk, 9 Klawikord, 10. Tor, 11 Jad, 12. Amazonka, 13. Oda, 14. Eskapada, 15. Rewja, 16. Anachoret (a), 17. Pas, 18. Implorant, 19. Helena, 20. Charon, 21. Tanki, 22. Arena, 23. Ara, 24. Akr

Wyrazy pionowe: 25. Demon, 26. Mazać, 27. Aida, 28. Hala, 29. Garson, 30. Kareta, 31. Cytadela, 32. Ten, 33. Karawan, 34. Malaga, 35. Rydwan, 36. Ajs (Eis), 37. Dewotka, 38. Arka, 39. Alderman, 40. Sopran, 41. Słowik, 42. Juri, 43. Rano, 44. Kaper, 45. Rodan, 46. Na, 47. Ra.

Spis uczestników konkursu z Nr. 7 i 8.

„Jotes" (Puchaczów) p. 19
W. Romano ski (Sosnowiec) p. 15.
J. Safjan (Warszawa) p. 17.
Wł. Sz elman (Radom) p. 18 +
L. Glaszmidt (Warszawa) p. 18,
St. Niewę łowski (Puchaczów) p. 19.
Cz Poleski (Zambrów) p. 19.
M. Kostewski (Łódź) p. 18.
K. Zinko ski (Lublin) p. 16.
R. Ferner (Wołkowysk) p. 15.
K. Soliński (Sokółka) p. 17.
D. Grauman (Warszawa) p. 19,
R. Siek!erka (Wars awa) p. 9.
S. Kopaliński (Sosnowiec) p. 8.
St. Jarnuszewski (Dąbrowa) p. 12.
J. Gajewski (Jarosław) p. 2.
J. Rabinersonówna (Warszawa) p. 4.
Wł. Lubnar (Zgie z) p. 8.
M. Tyrakowski (Skoków) p. 9.
Fr. Grochocki (Łomża) 11.
K. Faust (Rohatyn) 4.

Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 7.

Fr. Grochocki (Łomża) — I nagroda.
M. Tyrakowski (Skoków) — II nagroda.
Wł. Lubnar (Zgierz) — III nagroda.

Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 8.

„Jotes" (Puchaczów) — I (przez los.)
Cz. Poleski (Zambrów) — II (przez los.)
D. Grauman (Warszawa) — III (przez los.)

Od Redakcji.

Nawiązując do konkursu świątecznego, ogłoszonego w zeszłym numerze, zaznaczamy, że termin nadsyłania dalszych prac został przedłużony do 10-go stycznia 1929 r.

Czytelnicy więc „Mojego Przyjaciela", którzy z jakichbądź powodów prac swych nie zdążyli nadesłać mogą to uczynić do powyższego terminu.

Rezultat konkursu za najlepsze zadania ukaże się bądź w numerze styczniowym, bądź lutowym.

Z PISM I KSIĄŻEK

Marczyński Antoni. WYSPA NIEZNANA. Poznań. Karol Rzepecki 1928. Bibl. „Weź mnie z sobą", t. II. Pierwsza część powieści, której akcja rozgrywa się w czasie wielkiej wojny na jakiejś odludnej wyspie, której mieszkańcy są potomkami uchodźców kartagińskich. Żyją oni bez styczności z resztą świata, dzięki czemu zachowali dawną kulturę Tyru. Rozbitkowie - żołnierze pruscy, przygarnięci przez nich, okazują się zgodnie z konwencjonalnością całej powieści oczywiście samemi łotrami, ale trzeba powiedzieć, że i jeden jedyny Polak wśród nich, bohater powieści, uwodzący jedną, a kochający się w drugiej, też nie robi sympatycznego wrażenia wbrew intencjom autora. Powieść sensacyjno interesująca, może liczyć na poczytność wśród szerszego, a mało wybrednego ogółu, ale ze względu na drastyczne sceny nie nadaje się dla młodzieży.

Niedziałkowska-Dobaczewska Wanda. KAMIENICA ZA OSTRĄ BRAMĄ. Wilno 1928. Bibl. Kurjera Wileńskiego. Pomimo niektórych zwrotów i wyrażeń zbyt prowincjonalnych książka na ogół pisana z talentem.

Żywo i prawdziwie przedstawione stosunki powojenne, bezradność sfer ziemiańskich, przeniesionych z wiejskiego dobrobytu i dostatniego życia na bruk miejski, dobra charakterystyka z jednej strony słowiańskich usposobień szlachetnych, ale miękkich i o słabej woli, z drugiej namiętnego pożądania ziemi i chciwości kresowego chłopa, nie cofającego się nawet przed zbrodnią, byle tę ziemię posiąść. Niemile razi w książce niechęć widoczna autorki do Polaków z innych dzielnic.

Olechowski Gustaw. WÓDZ. Z cyklu: Budowniczowie świata. Warszawa b. r. Renaissance. Z wielką ciekawością i zainteresowaniem bierze czytelnik powieść tę do ręki. Czyta się szybko, lekko, dużo znanych wypadków dziejów ostatnich dziesiątków lat staje żywo przed oczyma, a rozumie się je lepiej i poznaje głębiej, bo książka odkrywa przyczyny nieznane. Napisana z talentem, i rzeczywiście wedle słów autora z przedmowy jest portretem, nie będąc fotografią, a nie będąc historją jest „historyczną". Podniosłaby się jej wartość, gdyby autor nie wplótł nawet trochę niezręcznie pierwiastka nadprzyrodzonego.

Balzac Honorjusz. CHŁOPI 2 t. Przełożył Boy-Żeleński (Przekładów Boy'a tom 95 Warszawa F. Hoesick 1928). Wielki pisarz francuski, mówiąc o „Chłopach", nazwał swoją książkę najważniejszą z tych, które zamierzał napisać. I rzeczywiście książka to niezwykłej wagi, porusza kwestje tak doniosłe i żywe, że autor robi wrażenie jasnowidza, przepowiadającego dzisiejsze czasy. Zwraca na to uwagę Boy w wybornym wstępie „Od tłumacza", gdzie daje krótki rozbiór powieści, a raczej przedstawionych w niej zagadnień natury społecznej i politycznej.

Biełych G i Pantelejew. REPUBLIKA SZKID. Warszawa, Bibl. groszowa 1928, Szkoła społeczno-indywidualnego wychowania imienia Dostojewskiego na Staro-Peterhofskim prospekcie w Leningradzie, jej urządzenie, sposób wychowania, najróżnorodniejsze momenty z życia szkoły i jej wychowanków, — to przedmiot powieści. Rzuca światło na ten biedny, w ciasnem kole doktryny Marksa zamknięty świat, który nie jest w stanie duszy dziecka dać jasnej wskazówki życia ani wyrobić prawdziwie szlachetnego charakteru.

Wallace Edgar. WŁADCA DUSZ. Przełożyła Marja Krzeczowska. Warszawa b. r. Renaissance Najpiękniejsze powieści kryminalne t. 5. Powieść lepsza znacznie niż zwykłe kryminalne, a że przytem sensacyjna i oparta na fantastycznym pomyśle zamiany dwóch ludzi, uczciwego, który umiera, i łotra, który zostaje przy życiu obdarzony duszą tamtego staje się dosłownie innym człowiekiem, więc może liczyć na znaczną poczytność, stąd w czytelniach bardzo pożądana dla dorosłych czytelników.

Hughes Ruport. TAJEMNICA BRYŁY LODU Warszawa. M. Arct 1928 Dziwaczna powieść amerykańska, epilog mieści się już w I-szym rozdziale gdzie mówi się o śmierci bohaterki, a potem przez dwa tomy opowieść się toczy dość wolnem tempem. Od czasu do czasu znaleźć można jakieś dowcipne powiedzenie, jakieś oryginalne określenie, naogół rzecz mało interesująca dla ludu, młodzież przeczyta ją chętnie ze względu na tło egzotyczne.

Glyn Eleonora. WIZYTY ELŻBIETY. Tłom. Janina Laszczowa, Lublin 1928. Dowcipna powieść z życia wielkiego świata angielskiego i francuskiego w formie listów naiwnej panienki, opowiadającej matce swoje wrażenia z wizyt w zamkach i pałacach w Anglji, na kontynencie: mogłaby być bardzo pożądanym nabytkiem dla czytelników miejskich (zwłaszcza, że poprzednie przedwojenne wydanie jest już wyczerpane), gdyby nie to, że przekład urywa się przed końcem powieści i nie daje rozwiązania nikłej zresztą akcji.



Bol. Czobodziński. Za nadesłane zadania serdecznie dziękujemy. Niestety, wobec braku rozwiązań zamieścić ich nie możemy. Jeśli więc życzy pan sobie ich wydrukowania, prosimy o nadesłanie rozwiązań lub innych łamigłówek.

Sylw. Cziński (Warszawa). Zadania Pańskie są ładne, pomysłowe i dość oryginalne. Cieszy nas bardzo fakt, że „stara miłość nie rdzewieje", że „Mój Przyjaciel" swej atrakcyjnej siły nie traci. Za zadania dziękujemy raz jeszcze, prosimy o nadsyłanie dalszych.

N. Cynamon (Płock). Pańska, jak widzimy, specjalność, zadania konikowe, nigdy pana nie zawodzi. Cieszy nas to bardzo. Dlaczego nie otrzymujemy od Pana rozwiązań działu szachowego, tego zrozumieć nie możemy.

Fr. Grochocki. (Łomża). Rebusy pańskie, zawsze aktualne, zawsze piękne, nigdy nie zawodzą. Czy ostatniego rebusu obrazkowego nie wykonał pan zbyt pospiesznie?

E. Menkes (Lwów). Za dobre rozwiązania zadań redakcja wyznacza szereg nagród książkowych.

Logogryfy są dobre, zamieścimy je w przyszłości. Prosilibyśmy na przyszłość o bardziej efektowne.

I. Giedrojć. (Grodno). Dziękujemy bardzo za uznanie Panu i Pańskim Kolegom. Udzielone uwagi są słuszne, lecz szkoda, że nie na czasie. W przyszłości z nich skorzystamy.

St. G. (Nowy Sącz). Wiersze słabe, bardzo słabe. Myśl dobra (Do Kolegów!) lecz opracowanie... Nie. Szkoda czasu. Niech Pan wierszy nie pisze! Każdą inną współpracę z nami chętnie będziemy popierali.

J. Safjan (Warszawa). Łamigłówkę, po przeróbce rysunkowej zamieścimy. Czy Pan gra w szachy? Przypuszczamy, że nie. Bo, gdyby... Sądzimy, że reszty domyśla się Pan sam. Nieprawda? Oczekujemy nowych i bardziej udatnych prac w dziedzinie rozrywek umysłowych.

L. Jasiński. (Kutno). P. Wł. Lubnar ze Zgierza (ul. Rynek J. Kilińskiego 12) życzy sobie wznowić korespondencję z dawnym swym kolegą i za naszem pośrednictwem prosi Pana o wskazanie mu swego adresu.

W. Lubnar (Zgierz). Prośbie pańskiej zadość czynimy. Prosimy o łaskawe nadesłanie nam rozwiązań do swych kompozycyj. Krzyż magiczny nie nadaje się do kliszowania, gdyż litery wykonane są atramentem. Szkoda to wielka, ponieważ ramka dość efektowna i całość sprawia miłe wrażenie. Oczekujemy listu a z nim nowych prac!

Wł. P — k (Kalisz). Nowelka — czy szkic? Co to? I co mamy z tem zrobić? Nieciekawe i.. nieudolne. Znając teraźniejszość, na jej podstawie odtwarzać marzenia przeszłości to nie trudno. Odwróćmy zagadnienie a spotkamy się z Verne'm lub Wellsem. Czy słusznie?

J. Kleiner (Podmłynie). Tak. Warunki do omówienia Rękopisów nieprzyjętych nie zwracamy.

M. K. (Wilno). Zbyt naiwne. Nie nadaje się.

K. Jędzejkowski (Pilica). Za logogryfy bardzo dziękujemy. Zamieścimy w przyszłości.

G. Mastej (Sieradz). Uprzejmie prosimy o nadesłanie rozwiązań szarad i okienka.

J. Schnee (Rzeszów). Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy. Logogryfy są ładne, zadanie konikowe dobre, a najlepsze dwie pierwsze szarady. Wszystko to zamieszczać będziemy w miarę miejsca i czasu. Mamy nadzieję, że upragniona, jak przypuszczamy, nagroda przypadnie również i Panu w udziale.

Ka—li (Łódź). Nic przeciwko temu nie mamy. Przeciwnie. I jak to nasi czytelnicy sami stwierdzić mogą, wszelkie prace w dziedzinie rozrywek, byle udatne, chętnie zamieszczamy. Twierdzenie więc pańskie jest niesłuszne, a słowa: „baju, baju, będziesz w raju" zupełnie nie na miejscu. Oczekujemy nadesłania obiecanych krzyżówek i rebusów.

Al-Pe-Pa (Kalisz). Zadanie konikowe nieudatne. Układanki doskonałe, a nowelka.. krytykę zostawiamy dla Pana. Czy dobrze?

St. Jaworski (Płock). Niestety. Na te pytanie odpowiedzieć nie możemy. Niech się Pan zwróci listownie w tej sprawie do Ligi Obrony Przeciwgazowej, Warszawa, Senatorska 12.

E. Łoza (Stołwina). Ostatnią krzyżówkę, choć wykonaną starannie i nader pomysłową w rysunku, musieliśmy odrzucić. Aby oszczędzić Panu tej przykrości na przyszłość zaznaczamy, że w wyrazach czytanych poziomo, lub pionowo, ostatnia litera jednego wyrazu nie może być jednocześnie pierwszą w wyrazie następnym, czytanym w tym samym kierunku. Wyrażamy nadzieję, że dalsze pańskie prace, jak to zresztą dawniej bywało, znajdą swe miejsce na łamach „Mojego Przyjaciela".

Rok V. Warszawa, grudzień 1928. Dodatek do Nr. 12.



WYCHODZI CO MIESIĄC

PROSPEKT

Do naszych Czytelników!

W ciągu pięciu lat swego istnienia „Mój Przyjaciel" nawiązał z czytelnikami ścisły kontakt i pozyskał licznych zwolenników i przyjaciół. Czytelnicy nasi aktywnie współpracowali z naszem pismem, nadsyłając artykuły i wiersze, biorąc udział w licznych konkursach, zwracając się do nas z najrozmaitszemi pytaniami, a niekiedy radami i wskazówkami.

Objaw ten świadczy dobitnie, że program naszego pisma odpowiada życzeniom czytelników, i że droga którą szliśmy dotychczas, była właściwa. Obecnie „Mój Przyjaciel", rozpoczynając szósty rok istnienia, zamierza skorzystać z doświadczenia lat ubiegłych i, odpowiednio rozszerzając i pogłębiając swój program, jeszcze ściślej dostosować go do pragnień i wymogów czytelników. W pracy naszej nad ciągłem doskonaleniem wewnętrznem i zewnętrznem naszego pisma nie ustaniemy dopóty, póki nasz cel upragniony, stworzenie pisma dla młodzieży o nowym, nieznanym w Polsce typie, zostanie całkowicie osiągnięty.

Nie ograniczamy się w naszem piśmie do nieskończonego wałkowania tematów, rzekomo wysoce pedagogicznych i moralnych, które chcą zamknąć ucznia w ciasnem kole zainteresowań szkolnych, a z pisma czynią jakiś niebardzo potrzebny dodatek do podręczników. Traktujemy naszego młodego czytelnika nie tylko jako ucznia, lecz jako przyszłego obywatela, któremu nie obce są żadne zagadnienia, interesujące ogół czytającej publiczności. Jak zaznaczyliśmy gdzieindziej, hasłem naszego pisma jest

„odzwierciadlenie życia współczesnego we wszystkich jego przejawach". Przy czytaniu niniejszego prospektu czytelnik się przekona, że pozostajemy nadal wierni temu hasłu, a program nasz obejmuje wszystkie dziedziny, które najbardziej młody umysł zaciekawiają i pociągają.

Oczywiście przy wyborze artykułów oraz przy ich opracowywaniu nie zapominamy o tem, że przemawiamy do czytelników młodych, którzy chcą usłyszeć z naszych łam nie głos srogiego nauczyciela, lecz przyjacielską gawędę starego ich druha, „Mojego Przyjaciela". Dlatego też wszystkie nasze artykuły, niezależnie od tematu, podane są w formie lekkiej i zajmującej. Najbardziej fascynujące opowiadanie może zawierać poważną naukową treść: czytelnicy nasi już nieraz przekonywali się o tem przy czytaniu licznych nowel i powieści, zamieszczanych w naszem piśmie.

A więc, program nasz jest bardzo obszerny i rozległy: znajdą w nim miejsce nieraz zagadnienia, szczegółowo roztrząsane w różnych pismach fachowych, a u nas podane w formie dla każdego przystępnej. Dążymy właśnie do tego, aby „Mój Przyjaciel" zastąpił czytelnikowi rozmaite pisma specjalne, mało dostępne wskutek zbyt fachowego traktowania, i prawie zawsze drogie. Nie poruszamy tylko z zasady zagadnień nudnych i oklepanych: nudność artykułu, mimo najbardziej szlachetnych jego tendencyj, jest w naszych oczach grzechem śmiertelnym, którego „Mój Przyjaciel" najskrupulatniej się wystrzega.

Po uważnem przeczytaniu niniejszego prospektu czytelnik się przekona, że program nasz obejmuje zagadnienia ciekawe nie tylko dla młodzieży, dla której nasz miesięcznik jest specjalnie przeznaczony, lecz i dla dorosłych czytelników, interesujących się współczesną kulturą we wszystkich jej przejawach.

Za przykładem lat ubiegłych redakcja zwróci specjalną uwagę na stronę

ilustracyjną

naszego pisma. W naszem piśmie czytelnik znajdzie aktualne zdjęcia rozmaitych wydarzeń chwili bieżącej, portrety znakomitych mężów stanu, literatów, uczonych i t. d.

Aktualne kwestje, związane z życiem młodzieży i najbardziej ją interesujące, oraz sprawy społeczne znajdą omówienie w

artykule wstępnym

gdzie również zamieszczamy prace krytyczno literackie o autorach najbardziej popularnych śród młodzieży, artykuły na rozmaite tematy, związane ze szkołą i wychowaniem w Polsce i na szerokim świecie i t. d.

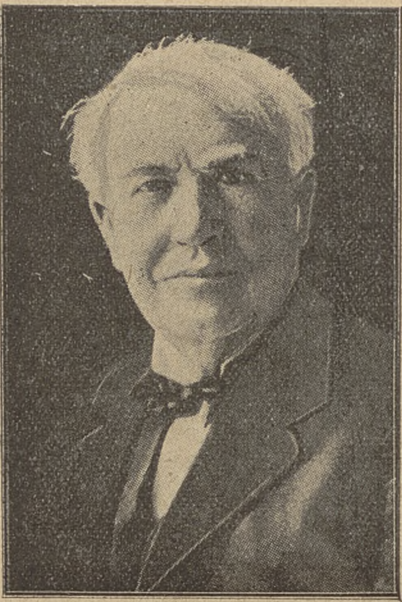
Dział beletrystyki



zwłaszcza nowele o oryginalnej, fascynującej treści zajmują poczesne miejsce w każdym numerze naszego pisma. Wybieramy dla naszego miesięcznika przeważnie nowele i opowiadania oparte na prawdziwych zdarzeniach, gdzie motywy dalekich egzotycznych podróży i sensacyjnych przygód łączą się z żywością opowiadania i prawdą życiową. Prenumerując nasze pismo na rok 1929 czytelnik tem samem nabywa bilet na przyjemną podróż, podczas której będzie błądził po niedostępnych dżunglach Indyj, polował na tygrysy hipopotamy, wzbijał się w obłoki na aparatach nieznanej dotąd konstrukcji — awszy-



Kilka ilustracyj z działu beletrystyki



stko to bez znużenia i niebezpieczeństwa, siedząc spokojnie z numerem „Mojego Przyjaciela" w ręku.

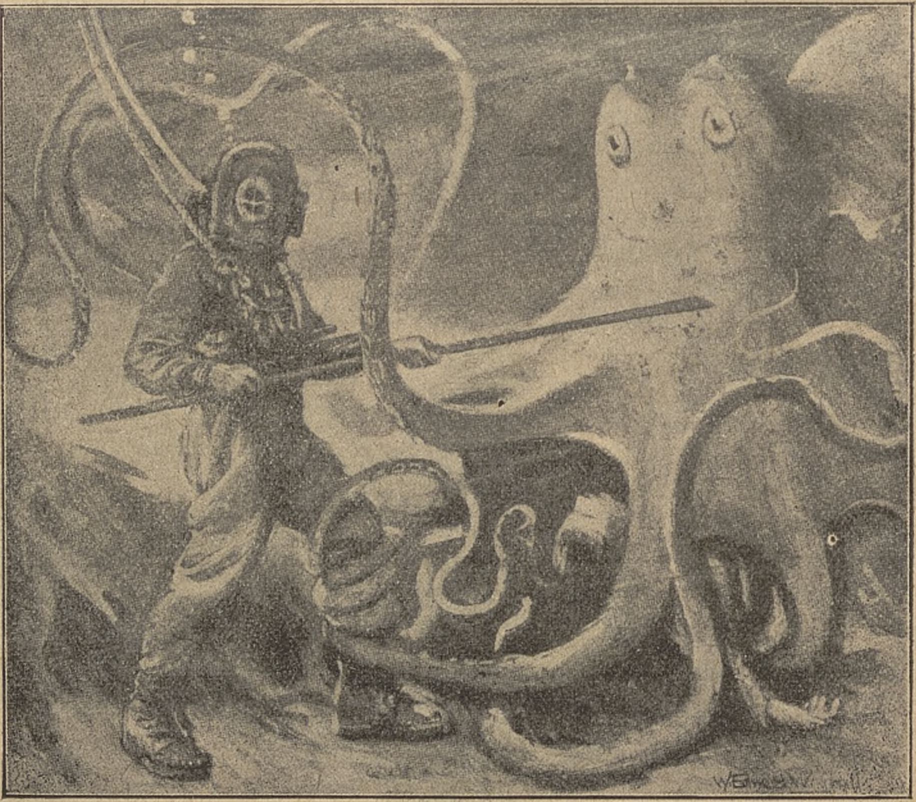
Szczególną uwagę poświęcimy również działowi

„Radjo"

w którym znajdzie czytelnik wszystkie potrzebne wskazówki, które pozwolą mu konstruować wszelkiego rodzaju aparaty radjowe, a posiadane polepszyć i udoskonalić.

Zaprowadzimy w roku przyszłym nowy dział p. t.

DOBRZE ZNANE A CIEKAWE...,



który zastąpi dawny dział „Nieparadoksalnych paradoksów", gdzie na zwykłe pytania otrzymuje się najbardziej nieoczekiwane odpowiedzi, a czasem same pytania mogą zadziwić czytelnika.

A że nawet w paru wierszach można dać wiadomości ciekawe i pożyteczne, czytelnik się przekona przeczytawszy

To i owo

Dużo miejsca poświęcimy działowi

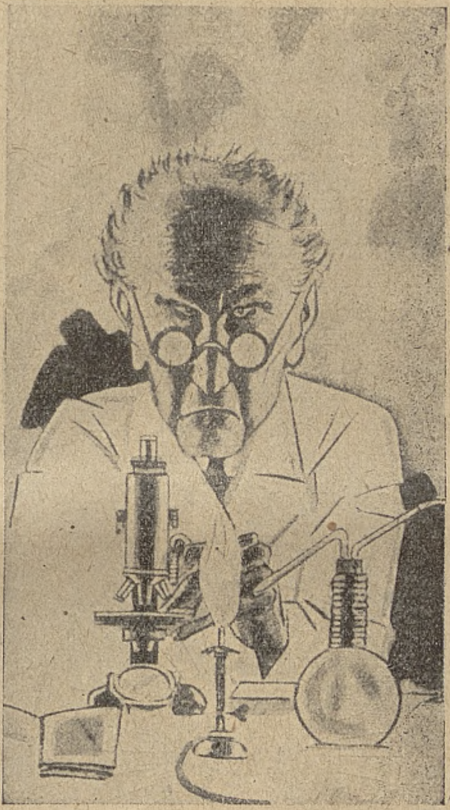
Sport,

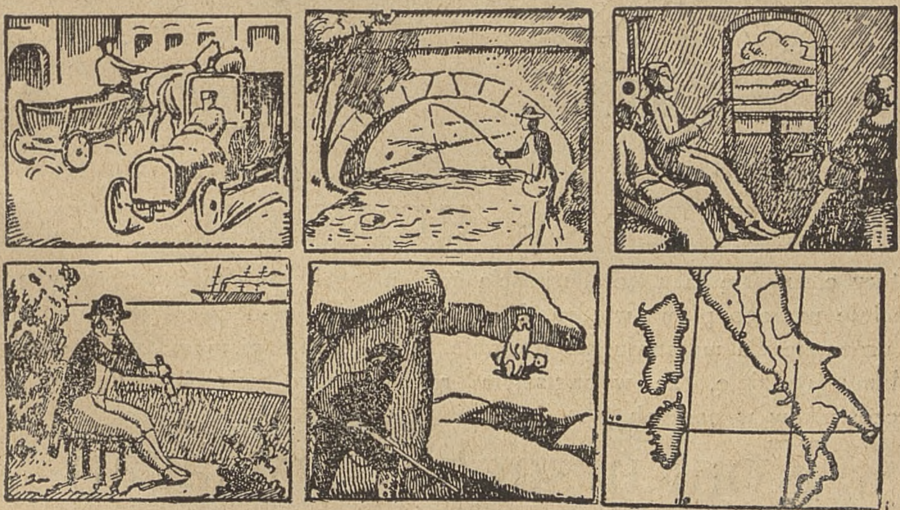
gdzie obok artykułów o najnowszych sportowych wydarzeniach międzynarodowych, będziemy zamieszczali artykuły naszych „asów sportowych" oraz kronikę polską i zagraniczną.

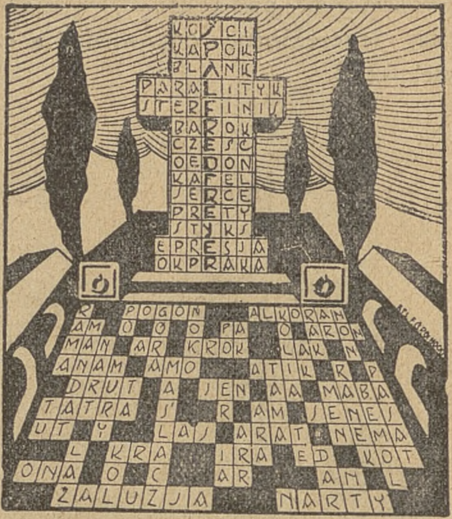
Nie zapominamy, że śród naszych czytelników mamy licznych amatorów

Kina,

których w roku zeszłym zapoznaliśmy z nadzwyczajnemi karjerami





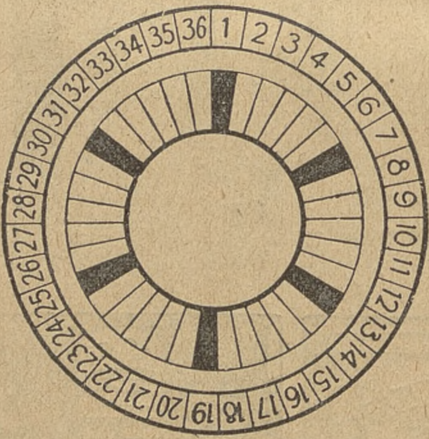






gwiazd kinowych, uchylając rąbka tajemnicy, otaczającej życie zakulisowe teatrów i wytwórni filmowych. Dla nich redakcja „Mojego Przyjaciela" przygotowuje cykl artykułów, poświęconych cudom i tajemnicom „wielkiego kłamcy" — k na.

Będziemy również nadal prowadzili obszerny dział





Rozrywek umysłowych,

który cieszy się taką popularnością śród naszych czytelników. Starzy przyjaciele naszego pisma wiedzą, że ten nasz dział pod względem obfitości i urozmaicenia materjału nie ustępuje specjalnym pismom rozrywkowym. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku jeszcze więcej będziemy mieli uczestników w naszych

Konkursach rozwiązań

ogłaszanych co miesiąc w każdym numerze naszego pisma i przynoszących najwytrwalszym i najdowcipniejszym z rywali prócz zasłużonej sławy także

cenne premje

w postaci pięknie wydanych książek, radjoaparatów, przyrządów sportowych i t. p.

Nie będziemy na tem miejscu wyliczali wszystkich działów stałych i półstałych, na które udzielaliśmy i udzielać będziemy miejsca na łamach naszego pisma. Nie zapomnimy ani o **„Kąciku Filatelistycznym“**, ni o **„Amatorze Fotografie“**, ni o **„Stroniczce humoru”** ni o **„Kąciku szachisty“**, ni wreszcie o **„Dziale krajoznawczym“**, który prowadziliśmy podczas wakacyj letnich. Jak i przedtem w dziale **„Z pism i książek“** będziemy polecali czytelnikom książki ciekawe i godnę czytania, a w **„Skrzynce pocztowej“**, będziemy utrzymywali żywy i bezpośredni kontakt z czytelnikami, odpowiadając na wszystkie interesujące ich pytania.

Prócz działów wymienionych wyżej zaprowadzimy w roku przyszłym stały dział

Konkursów literackich

polegających na napisaniu dokończenia noweli lub powiastki, wydrukowanych w piśmie bez rozdziału końcowego. Ten rodzaj konkursów ogromnie popularny za granicą u nas w Polsce pozostaje dotychczas prawie nieznany. W roku zeszłym daliśmy na konkurs nowelę p. t. „Tajemnica wuja Franciszka“, która wzbudziła duże zainteresowanie śród czytelników; po zakończeniu tego konkursu przystąpimy niezwłocznie do urządzenia następnych, gdzie czytelnicy będą mieli możność wykazania swej spostrzegawczości i zdolności literackich.

W prospekcie niniejszym naszkicowaliśmy plan nasz na rok przyszły w ogólnych zarysach, — plan nie wyczerpujący bynajmniej bogatego zakresu naszego pisma. — Przystępujemy do pracy pełni ufności i wiary w powodzenie i nie wątpimy, że nić sympatji, nawiązana między naszem pismem a czytelnikami, zamieni się w trwałą przyjaźń, a żywy udział czytelników w naszem piśmie stanie się coraz bardziej wydatny. Ciągle rozszerzając pismo nasze, ponosząc przytem materjalne ofiary, redakcja postanawia jednak nie podnosić ceny pisma, aby było ono i nadal dostępne jak najszerszym rzeszom naszej młodzieży. Nie wątpimy, że czytelnicy przyjdą nam z pomocą i poprą nasze dążenia kupując, prenumerując i polecając wszędzie nasze i swoje pismo.

REDAKCJA.

PREMJE dla prenumeratorów pisma „Mój Przyjaciel“ na rok 1929

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela“, którzy w ciągu miesiąca stycznia 1929 r. uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wydawnictwa „Pomoc Szkolna“).

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na 1 kwartał, otrzymują z rabatem 50%:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel”** cena 70 gr.

2) **Książkę rozrywkową 30 krzyżówek** cena zł. 1.50

Czytelnicy prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na pół roku. otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem 30%:

3) **Wielki kalendarz „Mój Przyjaciel“** na r. 1928-29
Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 3.—; w ozdobnej oprawie zł. 3.75

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3; z rabatem 30%

4) **Almanachy „Mój Przyjaciel“ tomy I, II, III, IV i V.**
CENA: tom I. w oprawie zwykłej zł. 2.50, w ozdobnej 5.—
tomy II, III, IV i V w opr zwykłej zł 3.50; w ozdobnej 6.—

Za przesyłkę premij doliczyć należy: za mały kalendarz i „30 krzyżówek“ —.25 gr.; za wielki kalendarz 1 egzemplarz —.65 gr.; 2—5 egz. zł. 1.—; za Almanachy 1—2 egz. zł. 1.—.

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel‘ korzystają przy kupnie książek wydawnictwa „Pomoc Szkolna“ z rabatu 10%.

Szczegółowe katalogi wysyła się BEZPŁATNIE.

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL“:
Prenumerata roczna zł. 6.60, półr. —3.30,— kwart 1.65, — miesięczna —.60.
Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., 1/2 str.—80 zł., 1/4 str.—45 zł. na okładce cała str.—200 zł., 1/2 str.—110 zł., 1/4—60 zł., 1/8—35 zł. 1/8—25 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Redaktor B. Petersilie Wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera

**PRENUMERUJCIE
i ROZPOWSZECHNIAJCIE
WŚRÓD KOLEGÓW i ZNAJOMYCH
p. „MÓJ PRZYJACIEL“**

Ukazały się z druku następujące nowości:

Język niemiecki dla Polaka bez pomocy nauczyciela, ułożył *H. Adler*.

Przystępny, na zasadzie nowoczesnej metody opracowany, systematyczny kurs dla samouków. Prócz części teoretycznej, książka zawiera obszerne wypisy, rozmówki polsko-niemieckie, wzory listów oraz rozwiązania do wszystkich zadań i ćwiczeń. cena 4.—

Repetytorjum z pedagogiki i dydaktyki

opracował J. Marjański p/g podręcznika prof. Ziemnowicza, Zarzeckiego, Foerstera i innych książek, zalecanych do przeczytania przez komisję egzaminacyjną. — Zawiera w ścisłej formie cały materjał, wchodzący w zakres wymagań egzaminacyjnych z pedagogiki i dydaktyki (stanowi 2-gi tom „Historji wychowania“ tegoż wydawnictwa) cena 3.—

Skróty Geografji Polski i Europy w zakresie szkoły średniej.

Zasadniczą cechą tych podręczników — ułatwienie uczniowi zapamiętanie faktów geograficznych, dzięki uporządkowaniu materjału w określony szemat klasyfikacyjny.

Na końcu znajduje się skorowidz alfabetyczny nazw i terminów geograficznych.

Podręczniki te dostosowane do programu Minist. W. R. i O. P. cena geogr. Polski 1.20

Rej — Życie i twórczość

Monografja ta uprzystępnia czytelnikowi poznanie i zrozumienie dorobku literackiego Reja. Podaje chronologję jego utworów, omawia ich treść i znaczenie. cena —.80

Chłopi — *Reymonta* (Praca analityczna).

Zwięzłe i jasne ujęcie najważniejszych zagadnień poruszanych w „Chłopach“. Analiza utworu, charakterystyki ważniejszych postaci, przyroda i życie wsi polskiej, oraz krótkie ujęcie treści utworu. cena 1.50

Noc Listopadowa — *Wyspiańskiego*

geneza, treść, rozbiór, opracowania tematów (Charakterystyki literackie № 61.) —.80

Marja — *Malczewskiego*

geneza, treść (Charakterystyki literackie № 62) cena —.50

Almanachy „Mój Przyjaciel“ tomy I; II; III; IV

Okazałe tomy zawierające każdy na kilkuset stronach bogato ilustrowany materjał, beletrystyczny, popularno naukowy, oraz obszerny dział rozrywek umysłowych z rysunkami i rozwiązaniami. W ozdob ej oprawie książki nadają się dobrze dla podarunków, a dzięki obfitości i ciekawości zawartego w nich materjału stanowią cenny nabytek dla każdej bibljoteki szkolnej i publicznej,

CENA: tom I w opr. zwykłej zł. 2.—; w opr. ozdobnej zł. 3.50
II; III; IV „ „ „ po 3.50; „ „ „ po 6.—
II-III i IV-V „ „ „ „ 6.—; „ „ „ „ 9.—

Nauka bez korepetytora!

Wydawnictwo „POMOC SZKOLNA“ H. Wajnera
Warszawa, Bielańska 5

poleca ułatwiające naukę szkolną książki z zakresu:

LITERATURY POLSKIEJ,
ŁACINY,
MATEMATYKI, FIZYKI, CHEMJI,
JĘZYKÓW OBCYCH,
HISTORJI etc.

Szczegółowy katalog na żądanie BEZPŁATNIE.

Kalendarz uczniowski „Mój Przyjaciel“ na rok 1928/29

zawiera skróty przedmiotów wchodzących w zakres szkoły średniej.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE!!!

Almanach „Mój Przyjaciel"

rok 1928 (pierwsze półrocze)

ZAWIERA

Tematy chwili.

Nowele i feljetony.

Artykuły popularno-naukowe.

Sport.

Podróże i przygody.

To i owo. Ze świata.

Kącik dla dzieci.

Teatr i kino.

Awiatyka.

Dodatki powieściowe.

Ilustracje i ryciny.

Portrety.

Ze świata.

Technika.

Sport.

Cena w opr. zwykłej zł. 3.50
„ „ „ ozdobnej „ 6.—

Almanach „Mój Przyjaciel"

rok 1928 (drugie półrocze)

ZAWIERA

Tematy chwili.

Nowela i feljeton.

Artykuł popularno-naukowy.

Nieparadoksalne paradoksy.

Awjatyka.

Sport.

Teatr i kino.

Podróże i przygody.

To i owo. Ze świata.

Ilustracje i ryciny.

Języki obce bez pomocy nauczyciela

Serja samouczków nową praktyczną metodą ułożonych przez wybitne siły fachowe.

Przy układaniu tej serji samouczków zastosowano metodę koncentryczną w połączeniu z inną metodą, zwaną obecnie naturalną albo organiczną. Wobec tego układ materjału w tych książkach, jak również sam system nauczania, mają pewne cechy, różniące je od innych podobnych podręczników.

Samouczków języków obcych nigdy jeszcze nie brakowało w obszernym zbiorze polskich podręczników. Mamy ich bardzo wiele, poczynając od obszernego wielotomowego Langenszeidta i kończąc na rozmaitych kieszonkowych „rozmówkach" i Argusach. Żaden z nich jednak nie zdołał, jak dotychczas, zdobyć powszechnego uznania i znaleźć obszerniejszy krąg czytelników i adeptów. Przyczyną były organiczne wady, tkwiące zazwyczaj, w samym systemie i budowie samouczków. Obszerny Langenszeidt wymaga od czytelnika tak wielkiego nakładu pracy i czasu, że studjować go może tylko uczeń, poświęcający się wyłącznie studjom nad jęz. obcym; takich zaś, oczywiście, jest niewielu. Niezliczone zaś małe „samouczki". i „rozmówki" podają zazwyczaj materjał bez żadnego systemu, nie poświęcając uwagi stronie metodycznej, wskutek czego uczeń po przestudjowaniu podobnego „kursu" nie może czytać najprostszej książki, nie mówiąc już o prowadzeniu rozmowy w obcym języku.

Przy układaniu naszej serji samouczków autorzy przedewszystkiem mieli na uwadze współczesnego czytelnika, który zazwyczaj ma niewiele wolnego czasu, chce jednak w najkrótszym terminie przyswoić sobie język obcy na tyle, aby **zrozumieć przystępną książkę lub gazetę i umieć w razie potrzeby prowadzić w obcym języku zwykłą rozmowę.** W tym celu obrano t. zw. **„metodę koncentryczną"**, polegającą na tem, że uczeń odrazu, w kilku lekcjach, otrzymuje pewne „minimum" wiadomości, prowadzące go w ten sposób od łatwiejszego ku trudnemu, od materjału już przyswojonego — do nowego i nieznanego. W ten sposób przyswajanie nowego materjału odbywa się bez zbytnich trudności, prawie niepostrzeżenie; rozwinięcie zaś najrozmaitszych prawideł z kilku zasad, wytkniętych od samego początku, zapoznaje ucznia z logiczną budową i „duchem" języka obcego. Co do **rozmówek praktycznych** dodanych na końcu książek ułożone one zostały w ten sposób, że prócz materjału do biegłej rozmowy na rozmaite tematy, zawierają one szereg zwrotów, nie dających się tłumaczyć dosłownie na polski, niezbędnych jednak dla głębszego zaznajomienia się z językiem obcym. **Dołączone do książki wypisy z najznakomitszych autorów specjalnie opracowane i zaopatrzone wskazówkami i słownikiem**, czynią z każdego samouczka wykończoną całość — przystępny dla każdego, praktyczny i systematyczny kurs obcego języka.

Z TEJ SERJI JUŻ WYSZŁY Z DRUKU:

Język francuski dla Polaka
ułożył J. FAUCONARD.
Cena zł. 3.50

Język niemiecki dla Polaka
ułożył H. ADLER.
Cena zł. 4.—

Język rosyjski dla Polaka
ułożył J. SOKOŁOW-ELI.
Cena zł. 4.—

Jako podręczniki uzupełniające, polecamy następujące książki, powyższą metodą opracowane:

Gramatyka Francuska w stu prawidłach
ułożył J. FAUCONARD
Cena zł. 1.50

Francuska korespondencja handlowa opracował M. PRAGIER
Cena zł. 5.—

Odbito w druk. GRAFIA. Warszawa.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

TREŚĆ NUMERU 12-go:

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL“:
Prenumerata roczna zł. 6.60, półroczna — 3.30, — kwartalna. 1.65, — miesięczna —.60
Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., 1/2 str.—80 zł., 1/4 str.—45 zł. 1/8—25 zł.
na okładce cała str.—200 zł., 1/2 str.—110 zł., 1/4—60 zł., 1/8—35 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera

DODATKI BEZPŁATNE: katalog wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera i prospekt kalendarza „Mój Przyjaciel“.